



WILHELM FELDMAN

— o —

SĄDY BOŻE

DRAMAT W 4-CH AKTACH

z życia żydowskiego.

— ••• —

WARSZAWA

Wydawnictwem Jana Fiszera,
Nowy-Świat Nr. 9.

—
1899.

~~~~~  
Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna Nr. 8.



WILHELM FELDMAN

---

# SADY BOŻE

DRAMAT W 4-CH AKTACH

z życia żydowskiego.

---

~~~~~  
W myśl obowiązujących ustaw przysługuje prawo własności
wobec scen — firmie nakładowej; w Galicyi zaś — autorowi.
~~~~~

WARSZAWA

Nakładem Jana Fiszera,  
Nowy-Świat Nr. 9.

—  
1899.

~~~~~  
Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna Nr. 8.

INSTITUT
BIBLIOTEKI PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 19 67 13
<http://rcin.org.pl>

Дозволено Цензурою
Варшава, 8 Іюня 1899 года.



21.933

SĄDY BOŻE.

<http://rcin.org.pl>

OSOBY:

MANES, bogacz małomiasteczkowy.

MAŁKA, jego żona.

JÓZEF, ich syn, lat 25.

EISENOWA, wdowa po urzędniku.

RÓZIA, jej córka, lat 27.

JOCHAJA, stary mędrzec.

RACHEL, jego żona.

ESTER, ich córka.

DAION, zastępca rabina.

MENDĚLE, Szames, posługacz synagogi.

Żydzi, żydówki, dzieci.

Rzecz dzieje się w małym miasteczku galicyjskiem. Akt pierwszy i drugi—w czasie świąt szałasów (kuczek) na podwórzu i w szałasie Manesa, akt trzeci w synagodze, czwarty na cmentarzu żydowskim. Między drugim a trzecim upływa kilka dni, między trzecim, a czwartym—kilka miesięcy.



AKT PIERWSZY.

(Obszerne podwórze przed domem Manesa. Na prawo drzwi na stopniach, prowadzące do mieszkania Manesa. Na lewo—drzwi do mieszkania Eisenowej, o jednym oknie, za którem widać firanki. Obok mieszkania Manesa, mniej więcej w środku sceny, duży szatas z desek, przykryty zielonemi gałęziami, z wchodem z boku od mieszkania Manesa. Wewnątrz szalasu długi stół obrusem przykryty i kilka drewnianych stołków, z góry zwiesza się drewniana lataрка. Między szalaseм a mieszkaniem Eisenowej ławeczka.

Południe. Ciepły dzień wrześnieowy).

SCENA PIERWSZA.

(Malka, potem Mendele. Pierwsza lat ok. 50, o twarzy zmęczonej, schludnie a skromnie ubrana, kręci się między swem mieszkaniem a szalaseм, wnosi dwie sztrucle, które przykrywa obruseм, ustawia flaszkę wódki, na talerzyku kilka kawalców miodownika, ciastka, grubo cukrem posypane, ryby, solniczkę, nóż, widelce. Ciagle przytem rozprawia).

M a ł k a.

Aj-aj-aj, tak strasznie późno.. Mało co nie widać ich z bóżnicy, a jam jeszcze nie gotowa. Oj, co to będzie *(wchodzi do mieszkania na chwilę)*. Śpi... furt sobie

spi. Prawdziwy pan! Jak się w nocy położył, to dotąd sobie spi, choć słońce tak wysoko, a wszyscy już po modlitwie. (*Uśmiecha się z rozczuleniem*). A jak on wygląda! Jak król wygląda! (*Uchyła drzwi*). Jak książę! I te śliczne rzeczy, co sobie przywiózł, te koszule cienkie, co szeleszczą sobie, jak najfajniejszy jedwab—aj-aj-aj, przecie i księżniczka nie może mieć nic ładniejszego.. Jaby w taką materję nie śmiała i w szabas się ubrać, a on nie... taki jedwab wziął sobie na koszulę, i to na noc... To znaczy pan, doktor! I to mój syn! Chwała Ci, Boże.

(Wpada Mendele. Niski, zwiędły, o żółtej brodzie i pejsach, spadających na ramiona. Nosi rypsovą, podartą, zzieleniałą bekieszę, kołnierz brudnej koszuli na niej wyłożony. Często zażywa tabaki, rozsypując ją po brodzie i sukniach. Kręci się bezustannie, mówi prędko, zacina się, bejaźliwy i nerwowy).

M e n d e l e.

Git jomtow, bałbuste, git jomtow! Daj wam Boże świąt dobrych i roku dobrego i wszystkiego dobrego. A my już jesteśmy gotowi i mąż wasz, oby żył! idzie na obiad.. Ny, powiadam wam, co nasz chazen dzisiaj śpiewał.. gwałt, on śpiewał, to z pewnością aż w niebie było słyhać... Takie to było fajne i delikatne i słodkie, jak wasz piernik z miodu, Małke-leben, jak te ciasteczka, co to pachną o sto mil zdaleka... Aj-aj-aj, jak oni pachną! Powiadam wam, że jeszcze by-

łem sobie w bóżnicy, a już nos mój czuł ten przyjemny zapach, i dusza moja mówiła do mnie: Mendele, Mendele, spiesz się, jak jeleń do wody, pędź do żony reb Manesa—oby jej Bóg dał zdrowie i życie i sto błogosławieństw! Ona ci da kidusz: wódkę (*mlaska językiem*) i przekąskę (*mlaska dwa razy*), że nawet na śmiertelnem łożu się będziesz oblizywał (*oblizuje się od ucha do ucha i prędko*). Prawda, bałbuste, że to wszystko dostanę?

M a ł k a.

Ale że wy też, Mendel, ciągle musicie językiem pytlować... Nu, pewnie że dam wam kidusz... Czy kiedy odmówiłam?

M e n d e l e.

To też ja zawsze gadam, co wy jesteście najkoszerniejsza duszyczka na świecie i prosto ztąd sobie pójdziecie do raj.

M a ł k a.

Zaraz... zaraz... Ale... takie zamieszanie oj... taki nieporządek... Wódka jest, ale niema, do czego nalewać... Poczekajcie no trochę... (*Wchodzi do mieszkania. Mendele rzuca się do stołu, oskubuje kawałki ciast i cukru, mlaskając rozkosznie. Ona wraca z srebrnym kubkiem. Nálewa*). Nu, jest wszystko. Róbcie sobie kidusz, i niech wam będzie na zdrowie. (*Do siebie*). Jeszcze spi...

M e n d e l e

(*mruczy krótką modlitwę, pije*).

Dobra, oj, jaka dobra! W raj chęba delikatniejszej nie piją.. (*Pije*). Na wa-

sze zdrowie, Małke-leben, oby Bóg wam dopomógl!

M a ł k a.

I wam także. (*Daje mu kawał miodownika*). A oto przekąska...

Mendele (*kosztuje*).

Aj-aj-aj, muszę wam powiedzieć, że coś tak słodkiego usta moje jeszcze nigdy nie jadły. To jeszcze słodsze niż słodkie, to takie dobre, że jak chory skosztuje, musi z największej choroby wyzdrowieć... To takie delikatne jadlo, że aż szkoda tego na mój żołądek.. (*Odkłada*). Nie, ja tego nie będę jadł. Schowam dla mojej biednej żony. Niech i ona wie, co takie wielkie święto mamy...

M a ł k a.

Co znowu za gadanie! To musicie zjeść sami, a dla żony dam extra...

M e n d e l e.

Ny, a co? nie mówiłem ja, że z was najkoszerniejsza duszyczka na świecie? Bóg wam zapłaci, że nie zapomiecie o mojej familji.

M a ł k a.

(*odkłada kilka kawalców piernika*).

A co tam porabia wasza rodzina?

M e n d e l e.

Ny, co dzisiaj porabia familja żydowska? Klepie biedę. Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy! Szczególnie dla biednego

żydka, co ma chorowitą żonę i siedem sztuk dzieci...

M a ł k a.

Co, siedm? a ja myślałam, że sześć...

M e n d e l e.

Toście dobrze myśleli, bałbuste-leben ale i ja sprawiedliwie mówię... Bo w domu jest sześć, oby się chowały! a siódme jest w drodze... Tuj-tuj sobie nadjedzie...

Małka (*uśmiecha się*).

Że wy też zawsze musicie trochę nie mówić prawdy...

M e n d e l e.

Co? ja? prawdy nie gadam? A niech mnie Bóg ciężko skarże! Brzydkie słowo wyrzekliście na mnie, bałbuste. Ja zawsze gadam sprawiedliwie... tylko czasem jakąś bagatelkę zapominam. Ny, mam tak kiepską głowę, że aż fe! Ot, zapytajcie, bałbuste, co ja przedwczoraj jadł na obiad, nie potrafię powiedzieć... na śmierć zapomniałem. (*Po chwili*). Bo i nie ma co pamiętać... nie nie jadłem...

M a ł k a.

To ja już wiem, że u was w domu bieda.

Mendele (*smutno*).

Aj-aj-aj, i jaka bieda! Żeby ją djabeł wziął, żeby ją szlag trafił! Ciężkie czasy, paskidne czasy... Ale co to pomoże, że ja tak przeklinam.. Ona silniejsza, niż

my wszystkie, niż cały kahał... Ona taka stara, jak żydowstwo... I wierna ona, joj! Pilnuje ona, pilnuje, jak najlepszy pasterz swoje owieczki.. Pilnuje, coby dzieci się nie najadły, nie ubierały za- nadto fajnie... Ot, teraz idzie sobie zima.. Skąd wziąć na buty dla dzieci, ha? Skąd — pytam się. Ja nie nie chcę, ja z Bogiem wojny nie prowadzę, ale tylko pytam... skąd?

M a ł k a.

Nu, nie smućcie się, Mendele. Bieda jest wielka, ale Bóg jest większy. A od czego dobre serce żydowskie? Tu macie trochę słodkich rzeczy, a jutro przyjdźcie do mnie, to pomówimy wedle tych butów dla dzieci...

Mendele (z wybuchem).

Małka, wy jesteście anioł! Poproście anioł, co go nasz dobry Bóg żydowski zesłał na ziemię... (*Wyjmuje z tylnej kieszeni -bekieszki brudną czerwoną chustkę i zawija ciastka*). To dopiero w domu będzie radość, (*mówi biegnąc nerwowo, uśmiechnięty*), aż nu! Będą i tam wiedzieć, że jest dobry Bóg na niebie i że żydzi nie zginą, póki jeden dla drugiego ma dobre serce... Gwałt, mnie się aż cni wedle serca od waszych słów, bałbuste. Z wielkiej radości mnie się aż słabo robi. Małke-leben, musicie mi dać jeszcze kapineczkę wódki...

Małka (*podaje*).

Ale pamiętajcie, Mendel, nikomu nie mówić wedle tych butów...

M e n d e l e.

Aj-aj-aj, co ja mam gadać? poco ja mam gadać? naco ja mam gadać? czy ja to nie wiem, że wasz mąż, oby żył jest wielgi bogacz i człowiek dobry jak cukier, ale nie lubi... miętkiego serca? Ny, i co to dla mnie za interes, aby on się dowiedział...

Małka (*surowo*).

Tylko na męża nic mi nie gadajcie Już on wie, co robi, a co robi, jest recht Słyszycie? (*wchodzi Manes*).

SCENA DRUGA.

(*Małka, Mendele, Manes. Ostatni średniego wzrostu, czerwony na twarzy, broda krótką, okrągłą, postać krepą, silną, wzrok bystry. Postawa, zachowanie się świadczą o silnej woli, szorstkości i prostactwie duchowem. Nosi jedwabną bekieszę i futrzaną czapkę szabasową*).

M a n e s.

(*odklada worek z tałesem*).

Git jomtow, git jomtow!

M a ł k a.

(*wobec niego cicha, nieśmiała*).

Dobrego roku życzę!

M a n e s.

Jest kidusz? To dobrze. A co ty tu robisz, Mendel? Dobrze, że cię zastaję...

M e n d e l e.

Co chcecie, reb Manes?

M a n e s.

Słuchaj, pójdiesz zaraz do wszystkich najznacniejszych obywateli z naszego kahału, rozumiesz?

M e n d e l e.

Ny, czemu nie mam rozumieć?

M a n e s.

Do największych bogaczy, ale także do biedniejszych, co to mają znaczenie za to, że są pobożni i uczeni. I powiesz im, że ja, reb Manes, regierer kahału i zastępca od burmistrza i starszy w synagodze, zapraszam do siebie na miód orzechy. Rozumiesz.

M e n d e l e.

Czemu nie mam rozumieć?

M a n e s.

I powiesz, że zastępca rabina, dajon nasz, oby żył sto dwadzieścia lat, wyraził przyrzekę, że także przyjdzie do mnie na miód i orzechy. Rozumiesz?

M e n d e l e.

Ny, czemu nie mam rozumieć?

M a n e s.

Teraz pędź! Pamiętaj, zaprosisz wszystkich bogaczy i uczonych. Będzie zabawa, aż wszyscy będą tańczyć. Rozumiesz?

M e n d e l e.

Ny, czemu nie mam rozumieć? (*Wychodzi mrużąc*). Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy...

SCENA TRZECIA.

(*Małka, Manes*).

Manes.

Wszystko przygotowałaś?

M a ł k a.

Mam pięć garnców wódki, trzy baryłki miodu, osiem funtów orzechów, trzy tuziny kawałków miodownika.

M a n e s.

Do wódki dolejesz wody. Do miodu dolejesz wody i spirytusu, rozumiesz? Czystych butelek zostawisz tylko kilka. Dla mnie i dla rabina. I to za dobre dla darmozjadów i kapcanów...

Małka (*nieśmiało*).

I po co ich zapraszasz?

M a n e s.

Tylko ty nie bądź mi fanaberją i nie mięszaj się do nieswoich interesów, rozumiesz? Teraz podaj obiad. Zjem prędko i pobiegnę po dajona. Aj, żeby tylko nie było u niego za dużo tych hołyszów, tych młodych chusydów, co to mają gardła bez dna... Ale nie szkodzi... niech i oni przyjdą. Będą śpiewać i tańczyć, a ja tego potrzebuję. Moje wszystkie wrogi popękają! (*Odkłada szabasową czapkę, w jarmułce siada do stołu, marsz-*

czy czoto, bębni. Żona tymczasem podaje ryby, po kolei przynosi rosół z makaronem, mięso, kompot z śliwek. Stąpa cicho; jedzą z jednego talerza, ona mało. Manes przed jedzeniem myje na podwórzu ręce, nad bułką odmawia krótką modlitwę).

Manes (przy zupie).

A co nasz doktor?

Małka.

Spi.

Manes.

Spi? teraz jeszcze spi? Nu, nu, ładny interes. Ślicznie on będzie wyglądał, jak się będzie bawił w wielkiego pana i do dwunastej spał.

Małka.

Co chcesz od biednego chłopca? On okrutnie musi być zmęczony. Jedzie przecie z samego Krakowa.

Manes.

Tylko ty nikomu nie gadaj o tej jeździe, rozumiesz? Niech nikt nie wie, że on przyjechał tej nocy...

Małka.

Czemu?

Manes.

Jakto, czemu? Oj Małka, Małka, ty już nie głowy nie masz. Zapomniałaś, że w nocy święto.

Małka.

Ależ doktorowi przecie wolno w święto jeździć.

M a n e s.

Doktór, nie doktor, przedewszystkiem musi być żydem, jakiego potrzebują mieć w miasteczku, rozumiesz? I ja nie chcę, aby on na moją głowę wstyd rzucił. Ja pracuję tyle lat, aby być pierwszą osobą w gminie, ja doprowadziłem do tego, że sam podrabin do mnie przyjdzie, a tu przyjdzie sobie taki niemiec, aby mi to wszystko zepsuć. Dla mnie nie jestto żaden honor, że on jest sobie niby panem, i będzie żył z panami za pan brat i będzie chodził do kasyna, rozumiesz? Ja pluję na tych wszystkich urzędników i szlachciców z Kasyna, ja wiem, co oni warci! W kieszeni mam ich wszystkich, połowę z nich mogę do kryminału wsadzić. Doktor, doktor! Niech kuruje ludzi, jak potrafi, ja chwala Bogu, jestem zdrów. Ale co to za interes, co za chleb, ha? Ja, jak wyjdę na godzinę na rynek, pomówię raz z szlachcicem, już mam większy zysk, niż doktor przez cały kwartał. Josel był dureń i jest dureń.

M a ł k a.

Tak.. tak.. ty dla naszego jedyne go dziecka nigdy nie miałaś serca.

M a n e s.

Co? ja go nie kocham? Nie kocham go jak baby. albo niemcy, tylko po swojemu, a ty masz dla mnie jeszcze tak paskudne słowa? Żebym tak zdrów był, że powinienem się gniewać. Serce..

serce.. Pytaj-no się mojej kieszeni, co ten bucher mnie kosztował..

M a ł k a.

Posyłałeś mu pieniądze dopiero od niedawna.. Gdy był w gimnazjum, musiał ciężko harować.

M a n e s.

Bo miałem recht, rozumiesz? A poco on uciekł z domu do tych klas paskudnych, kiedy mu było dobrze, ha? Ja byłbym z niego kupca albo rabina zrobił..

M a ł k a.

I miałby już teraz żonę.. (*rozmarzona*) i jabym wnuczęta kołysała.. Tak, Manes, może i miałeś recht.

M a n e s.

Ja zawsze mam recht, rozumiesz? (*Wstaje, ociera usta rękawem*). Ale co tam dużo gadać. Dzisiaj klócić się nie będziemy. Takie święto! Wiesz ty, głupia, co za święto dzisiaj?

M a ł k a.

Czemu nie mam wiedzieć. Ostatni dzień kuczek.

M a n e s.

A co? nie mówiłem: głupia? (*kładzie jej dłoń na ramieniu*). Dzisiaj święto przede wszystkim dla nas, dla naszej familji, rozumiesz? Przypomnij-no sobie, staruszeko, co było przed 20 laty... jak ja byłem bałagudą i wozilem cudze towary, zanim mi do głowy przyszło własnymi handlo-

wać, a ty sprzedawałaś placki na rynku. Wtedy jak chodziłem do synagogi, stałem het przy samych drzwiach, teraz (*chętliwie*) ja w tej samej synagodze jestem pierwsza osoba, starszy, a rabin i żydkowie z najpiękniejszych familji tutaj przyjdą mnie honorować! I co? mam a zawsze recht?

M a ł k a.

(*przygnieciona jego wielkością.*)

Już ja wiem, że tobie Bóg dał kepele..

M a n e s,

Ale to nie jeszcze. Ty wiesz o tem głupiem gadaniu tego warjata, Jochaj. On furt powtarza, że ja mu zabrałem osiem tysięcy. Nu, jak najpierwsze osoby z miasta mnie przyjdą honorować, czy to nie znak, że mnie oddają recht, a nie temu staremu, ha? Czy to nie znaczy, że ja ten proces wygrałem, a nie on – ha? Już ja wiem, co robię, to święto u mnie tysięcy warte – rozumiesz? Ja bo zawsze mam recht! (*Z fantazją nasadza czapkę*). Nu, teraz zakrzataj się, aby wszystko wypadło fajn, co się zowie fajn.. (*Wychodzi na podwórze*).

Malka (sprząta).

Tak.. tak.. to wszystko prawda, a przecie serce tak boli, jakbyś nożem krajał. Ty masz recht, a ja to bolenie..

M a n e s

(*wraca, staje na progu*).

Słuchajno, żono, jeszcze jedna ważna rzecz. Nasz doktor zacznie pewnie zno-

wu po dawnemu łązić do tej tu.. (*wskazuje na mieszkanie Eisenów*) pannicy.. Powiedźże mu, że to jest wielkie głupstwo! Powiedz mu, że ja nie chcę, aby on sobie głowę zaprzętał tą żydowską hrabianką bez centa... Czas już, aby zaczął myśleć o intratnym jakimś interesie—rozumiesz? (*Odchodzi*).

SCENA CZWARTA.

M a ł k a.

(*Z mieszkania Eisenów wychodzi Różia; w porannej bluzce i pantofelkach, włosy jeszcze nieczesane. Stoi chwilę na stopniach, wyglądając czyjegoś przybycia*).

M a ł k a

(*po słowach męża stoi zmięszana, duma chwilę, potem z ciężkiem westchnieniem zabiera się znów do sprząwania. Bierze ze stołu obrus i wychodzi na podwórze, by wytrząść okruszyny*).

R ó z i a

(*zawsze czystym poprawnym językiem*).
Dzień dobry, pani Manesowa, dzień dobry!

M a ł k a.

Dzień dobry pannie Rózi.

R ó z i a.

Widzi pani, mama moja, jak wyszła rano na miasto, tak dotąd nie wraca. Ach, Boże, a ja się tak strasznie nudzę. Co tam u pani słychać?

M a ł k a.

U mnie bardzo dużo słyhać. Mój syn, doktor, przyjechał.

R ó z i a

(zelektryzowana przybiega do niej).

Pan Józef? Kiedy?

M a ł k a.

Tak.. niedawno.. przyjechał i jest! Powiadam pannie Rózi, co za piękne rzeczy on sobie przywiózł, co za jedwabne chusteczki! On już jest taki cały doktor, skończony doktor!

R ó z i a

(zamyślona).

Więc przyjechał pan Józef.. Na długo?

M a ł k a.

Da Bóg na bardzo długo. Ja już go stąd nie puszcę. Przecie całe miasto gada, że tu nowego doktora potrzeba. A mnie on więcej potrzebny niż sto doktorów, więcej niż zdrowie..

R ó z i a.

Jabym mu się bardzo dziwiła, gdyby tu pozostał. Boże, Boże, mieć możność zamieszkania we Lwowie lub nawet we Wiedniu, i nie korzystać z niej... na to trzeba chyba być warjatem..

Małka (zgorszona):

Co też panna Rózia wygaduje! Panna Rózia taka mądra osoba, a mówi jak dziecko. Gdzie jemu będzie lepiej jak tutaj, ha?

R ó z i a.

Moja pani Manesowa, pod tym względem mamy poglądy i wymagania zbyt odmienne, by można było dyskutować. Pani jesteś przyzwyczajona do tego ciasnego światka, pani pragnęłabyś zresztą mieć syna dla siebie.

M a ł k a.

Dla siebie? nie, niech Bóg broni! Wiem ja dobrze, że dzieci wychowuje się nie dla rodziców, tylko dla świata. Ale ja przecie matka. Ja chcę tak mało.. tak mało.. Ot, popatrzeć na niego, pomówić z nim od czasu do czasu, ugotować coś dla niego, i już będę szczęśliwa. Nu, i dzieci jego niańczyć muszę, pewnie!

R ó z i a (z przest్రachem).

Pan Józef się może żeni?

M a ł k a.

Nie, nie jeszcze, ale to zaraz będzie. Prędko, bardzo prędko. Wie panna Różia, już sześć lat chodzą do mnie swaty i swatki, najslawniejsze swatki z miasta i okolicy, ba, jedna przyjechała nawet z samych Brodów, i chcą dać piętnaście tysięcy, więcej nawet. A do tego żonę, jedną fajniejszą od drugiej. A wszystkie takie delikatne i ładne i hajdukowe.. Aj-aj-aj, co za partje! takie partje, że aż strach! A on... (za sceną, z mieszkania Manesa rozlega się wołanie Józefa: „Mamo, mamó! Proszę mamó tu na chwileczkę!“ Malka szybko składa obrus). Przepraszam pannę Rózię... bardzo prze-

praszam... Ale to on mnie woła! Wstał już chwala Bogu! Przepraszam... (*Wbiega do mieszkania*).

SCENA PIĄTA.

R ó z i a.

(*Nerwowo spaceruje po podwórzu, uśmiecha się do swych myśli. Nadchodzi matka.*)

E i s e n o w a

(*ubrana czarno, dosyć ubogo, stara, schorowana*):

To ty, Róziu? Czemu jesteś tak lekko ubrana? Przeziębisz się, dziecko...

R ó z i a.

Co znowu mama mówi. Taki piękny, ciepły dzień..

Eisenowa.

Więc widocznie mnie tylko zimno... Ha, starość nie radość. (*Z westchnieniem*) I zmęczona jestem.. Byłam w urzędzie, bo znowu robią jakieś trudności z wypłatą pensji.. a to mnie tak zirytowało, że ledwie się na nogach trzymam...

R ó z i a

(*z niekłamną czułością*):

Biedna mama! (*Głaszcze ją i całuje w czoło*). Niechże mateczka spocznie (*sadowi ją na ławeczce*). Obiad zaraz będzie gotowy i mama się pokrzepi.

Eisenowa.

Dziękuję ci, Róziu. Ty zawsze byłaś dobrem dzieckiem.

R ó z i a.

(*staje przed nią*).

Ale wie mama, co się stało? Syn Manesów przyjechał.

Eisenowa.

Pan Józef? To mnie cieszy.. Bardzo lubiłam tego młodego człowieka..

R ó z i a.

Jest już doktorem!..

Eisenowa.

To ładnie, bardzo ładnie. I co zamysła robić?

R ó z i a.

Co zamysła? co zamysła? Wie mama... (*patrzy jej w oczy z uśmiechem*)—zamyśla... starać się o moją rękę.

Eisenowa (*zrywa się*.)

Co ty mówisz, dziecko?

R ó z i a.

Co mama słyszy. Zakochany po uszy. Więcej nawet.. niewolnik mój... zupełnie pod moim pantoflem!

Eisenowa.

To dopiero! A skąd ty wiesz?

R ó z i a.

Czytam to w jego oczach od wielu lat...

Eisenowa.

Ktoby się był spodziewał.. Ja tego nigdy nie zauważyłam!

R ó z i a.

Wiem, że mama nie zauważyła! Mama nigdy nie wie, co się dzieje dokoła.

Eisenowa.

Patrzcie ludzie, a to miniespodzianka! (*Po chwili*). Ale wiesz, Róziu, to dla ciebie prosto szczęście.

R ó z i a.

Szczęście.. szczęście.. Mama, widzę, nie bardzo wysokie o mnie ma wyobrażenie.

Eisenowa.

Moje dziecko, zapominasz, że masz 27 lat..

Rózia (*z irytacją*).

Prosiłam już tysiąc razy, by mi mama metryki nie prezentowała!

Eisenowa.

Kiedy, niestety, życie aż nadto często ją przypomina.. Wiesz, ja jestem stara.. Świeżej młodzieży w miasteczku niema, a ta, która jest.. ileż-to razy nas już zawiodła! Co chcesz.. w naszych czasach.. Panna bez posagu.. szczególnie między żydami.

R ó z i a.

A mnie to bynajmniej nie przeraża. Ja jestem święcie przekonaną, że gdybym mogła bodaj jeden karnawał spędzić we Lwowie lub we Wiedniu.. przyszłość moja byłaby zapewniona...

Eisenowa.

Tak.. ja także wiem, że takich, jak ty, niewiele na świecie.. Ale co robić! Wiesz,

że na podróże i życie w wielkiem mieście nie mamy.

R ó z i a

(chodzi nerwowo, załamując ręce).

Boże, Boże! czemu jestem tak nieszczęśliwą!

Eisenowa.

A ja ci jeszcze raz powiadam: Róziu, pomyśl serjo o tej partji.. Dosyć pokutujemy za to, żeś zanadto przebierała.. przed dziesięciu i jeszcze pięciu laty.

Rózia *(robi wzgardliwą minkę).*

Eisenowa.

Tak.. to był urzędniczyna i nauczyciel, nic świetnego, ale teraz.. Co masz przeciw panu Józefowi? Młody, przy stojny, praktykę lekarską będzie miał..

R ó z i a.

I wleść na zawsze między tę hałastę żydowską! I rzucić wszystkie marzenia, tak piękne, tak urocze, dla kogo? dla syna Manesa bałagudy. W dodatku jeszcze walczyć o to szczęście, bo stary pragnie dla syna zapewne żony z pieniędzmi..

Eisenowa.

Moje dziecko, o księciu z bajki nam chyba nie myśleć. Więc trzeba walczyć.. Trudno! A co do Man a, kto tam pamięta mu przeszłość.. Jest teraz bogatym, trzęsie całym miastem, a Józef jedynym jego spadkobiercą.

R ó z i a.

Oh, o tem ja pamiętam...

Eisenowa.

W dodatku jest, jak mówisz, zakochany..

Rózia (z uśmiechem wyższości).

I porządnie głupi!

Eisenowa (niemile dotknięta).

Co ty mówisz, dziecko?

R ó z i a.

Co mama słyszy. Że syn Manesa jest głupi, jak student. I ja go na pasku prowadzę, jak dziecko. To chyba największa jego zaleta!

Eisenowa (skonsternowana).

Wiesz, dziecko, ja się ciebie czasem boję...

Rózia (rozochocona).

Ja za to nikogo się nie boję! Śmiało... avanti! Może syn Małki ma być tym rycerzem, o którym kiedyś marzyłam, ha, ha, ha! Więc mama chce? tak, maceczko? (rzuca jej się z pieśczołą na szyję).

Eisenowa (z niechęcią).

Ty jeszcze nie zaczęłaś być poważną widzę.. (W szalasię rozlega się głos Małki i Józefa.)

R ó z i a.

Ale otóż i on...

Eisenowa.

Pan Józef..

R ó z i a.

Chodźmy, mamó.. Tak się mu przecie nie pokażemy.. (Wciąga ją do mieszkania.)

SCENA SZÓSTA.

M a ł k a,

wnosząc do szatasa kilka krzesel, za nią

J ó z e f

ubrany dość elegancko, bródka w klin, sympatyczna fizjognomja. Mówi zupełnie poprawnie. Kończy przyczesywanie włosów i wkłada cylinder.

Ah, zmęczony jestem.. Spałem doskonale, śniadanie było pyszne, a przecie... Ale też mamie powiadam, od czterech miesięcy, jak się uczyłem do egzaminu, ani razu nie wyspałem się uczciwie. No, chwała Bogu, że już po wszystkim... (*siada. Małka porządkuje*). A co tutaj słyszać? co mama porabia?

M a ł k a.

Moje dziecko, jak tobie dobrze, to już i mnie dobrze.

J ó z e f.

Zmizerniała mama od ostatnich wakacji, zresztą nieźle.. Nie tak źle, jak się obawiałem. Bałem się zawsze neurastenji... niby że mama osłabnie, dręcząc się ciągle i gryząc z powodu ojca...

M a ł k a.

Moje dziecko kochane, poco ja się mam dręczyć i gryźć? Ja się do interesów ojca nie mieszam, i tak najlepiej. Ja mam moje gospodarstwo, roboty dużo, modlę się i myślę o tobie.. to dla mnie dosyć.

J ó z e f

(*wyrywa się z zamyślenia*).

A co słyhać w mieście? Zaszły jakieś zmiany, co? (*zagląda na podwórze*). Pani Eisenowa, widzę, jeszcze tu mieszka. Zauważyłem zresztą w nocy.. Świeciło się u nich i firanki były te same. Jakżeż się im powodzi?

M a ł k a.

Ta.. wiesz..

Józef (*z niepokojem*).

Czy panna Różia wychodzi może za mąż?..

M a ł k a.

Ale gdzietam! Nic nie słyhać o tem. A szkoda.. Panna taka ładna i taka hajdukowana i elegancka i grzeczna.. Osoba, cała osoba! mogłaby u największych państwa za stołem siedzieć. Ale co.. niema ani cencika posagu.

Józef (*chodzi wzburzony*).

Więc w społeczeństwie handlarzy nie znajdzie nabywcy.. Ale teraz błogosławię ten wstręt obrzydliwej naszej młodzieży do panien bez posagu.. Dzięki temu jest dotąd wolna i.. (*staje przed matką z wybuchem*) musi być moja! Mamo, Różia będzie moją żoną, albo żadna..

M a ł k a.

Co? co ty mówisz?

J ó z e f.

Mówię, że muszę ożenić się z p. Rózią.

Małka (*załamuje dłonie*).

Nowa zgryzota.. nowe nieszczęście! Toć ojciec tak wysoko patrzy! Ależ dziecko moje, korono moja, serce kochane, dlaczego koniecznie z nią?

J ó z e f.

Bo ją kocham..

M a ł k a.

Kochasz? Co to znaczy—kochasz?! Także gadanie, także wymysł tych niemców paskudnych. Co to jest? Jak twój ojciec mnie wziął, czy mnie kochał? Pytajno każdego z żydków, który w miasteczku się żeni, czy kocha pannę, która jutro będzie jego żoną? Nawet jej nie zna! A przecie między prostymi żydkami masz najlepsze na świecie małżeństwa..

J ó z e f.

A czy mama była i jest szczęśliwa?

M a ł k a.

Szczęśliwa—szczęśliwa...

J ó z e f.

A ja chcę trochę szczęścia! Chcę, bo mi się należy, bo bez niego pocóż żyć na świecie? Moja mamó (*siada i ujmuje jej dłoń*).. przeszło dziesięć lat pracuję.. ciężko pracuję.. tak, że sił już nie staje.. Jako chłopak musiałem walczyć o kawał chleba, a i później nieświetnie się miałem. Żyłem zawsze samotny, jak drzewko na cmentarzu. Chajder i talmud i myśli moje zrobiły mnie zbyt poważnym, i nigdy nie brałem udziału w swawoli i lekkim

życiu moich kolegów.. Pracowałem i myślałem o niej, o pannie Rózi. Jestem samotny i teraz... Z ojcem nie żyję. To źle, ale trudno.. Na to nie poradzę.. Ciebie, matko, kocham tak, że dusza moja uśmiecha się, to płacze, skoro o tobie pomyślę.. (*Obie jej dłonie podnosi do ust, ona go całuje w głowę, potem słucha, tży ocierając*).. Ale to nie dosyć.. Przytem—między nami taka różnica..

M a ł k a.

Ja wiem, żem prosta kobieta..

J ó z e f.

Twoje proste serce więcej warte, niż tysiąc wielkich rozumów. Ale wogóle.. Ja potrzebuję kogoś, coby mnie rozumiał, coby mi sił dodawał, coby świat mi zrobił pięknym i jasnym.. coby mi dał uczuć, że warto było męczyć się dawniej i warto walczyć później.. (*Wstaje*).. Ja poprostu od dzieciństwa żyję myślą, iż panna Rózia jest tą osobą.. ona mi do serca przyrosła i tylko razem z sercem wyrwać mi ją można..

M a ł k a.

Ależ ona..

J ó z e f.

O pieniądzach niech mama nawet nie próbuje mówić! Czy mama sama nie zachwycałaś się przed chwilą, jaka ona śliczna i wykształcona i dobra.. Bo dobra jest, o tem jestem przekonany.. I czegoż potrzeba więcej? Mamo, mamo, czy nie ró-



zumiesz, że tu chodzi o szczęście całego mego życia?!

Małka (*w zadumie*).

Ona ci ma dać to szczęście..

J ó z e f.

Da mi, skoro siebie da, bo sama jest szczęściem i roskoszą i najwyższym urokiem, jakie życie może posiadać.. Dzie sięć lat żyję tą nadzieją, a teraz.. (*bierze ją za rękę*).. teraz musisz, mamó, zrobić wszystko, aby się urzeczywistniła.. Musi być moja!

M a ł k a.

Ha, jeżeli ona ci da szczęście.. Moje dziecko kochane, ja nie wszystko rozumiem, co mówisz, ale to rozumiem, że w niej widzisz swoje szczęście.. Nu, a ja... a ja... (*chwytą go za głowę i całuje*) z pewnością życie dam, aby tobie bodaj trochę szczęścia przynieść.. Tylko.. co zrobisz z ojcem? ha?

Józef (*chodzi*).

W tem właśnie pytanie...

M a ł k a.

Ciężko będzie.. ciężko.. On panny bez pieniędzy i znać nie chce.. Nu, on ma zawsze recht, bo co pieniądz, to pieniądz.. tylko w tem ty znowu masz recht, że pieniądz to jeszcze nie jest całe szczęście... Oj, nie jest! A on te pieniądze tak kocha, że aż grzech. Trudno będzie.. okropnie... Szczególnie teraz.. kiedy w nim ciągle tak kipi, jak w garnku... bo pra-

wda, nie ma się co dziwić... jemu także niewesoło.. Kto ma na głowie tyle dzi-
kich kłopotów i interesów.. Ja się tam
do tych interesów nie mieszam, ale co
wiem, to wiem.. Mało, myślisz, robaków
gryzie mu teraz serce wedle tego proce-
su z Jochają?

J ó z e f.

Ze starym Jochają?

M a ł k a.

Aj, to ty nic jeszcze nie wiesz.. Nie
wiesz, że Jochaja wrócił z Jerozolimy...

J ó z e f.

Co też mama mówi! Wrócił ten pocz-
ciwy, sympatyczny starzec? a czemu?
przecie pojechał, aby tam życia dokonać..

M a ł k a.

(wpada nagle w irytację).

Czemu wrócił? Na nasze nieszczęście
wrócił. Ażeby nam zatruć życie—wrócił.
Wiesz, synu, ja jestem prosta kobieta
i Jochaję bardzo szanuję, bo to lamdon,
uczony człowiek i bogobojny człowiek,
i dużo dobrego biednym zrobił. A teraz
on jeszcze sto razy więcej wart, bo przy-
wiózł cały worek ziemi świętej...

J ó z e f.

Co przywiózł?

M a ł k a.

Nu, ziemię białą, ziemię z Palestyny,
ziemię z grobu, gdzie leży Abram i
Sura..

Józef (z lekceważeniem).

Ah, *to* on przywiózł! Ziemię cudowną, aby zabrać z sobą do grobu pod głowę i uzyskać w ten sposób spokój przed złym duchem?—co?

Małka (*surowo*).

Mój kochany synu, tylko mi się nie naśmiewaj. Ja jestem prosta kobieta, a ty jesteś doktor, ale ci powiadam, że nie masz recht, i śmiać się nie wolno. Z tego, w co wierzyli nasze przodki i cały Izrael wierzy, ty się chcesz śmiać? Ja takich rzeczy nie chcę słyszeć, mnie serce boli, jak ty coś takiego gadasz.

J ó z e f.

Dobrze, mamó, ja się nie śmieję... Wprawdzie zbyt dużo trupów przeszło przez moje ręce, abym wierzył, że one spią dobrze w grobie, jak im się daje pod głowę poduszczykę z ziemi palestyńskiej, a złe duchy je szarpią, jeżeli tej ziemi nie mają. Ale z drugiej strony, wiem, że wiara cuda czyni..

M a ł k a.

Widzisz...

J ó z e f.

Więc co Jochaja?

M a ł k a.

Nu, on ma ziemi świętej cały worek... Ale co z tego... On, wiesz, stary już, bardzo stary! Ma głowę słabą, czy co? Dosyć, że z Jeruzelajim wrócił, po pierwsze, bo tutaj mąż jego córki umarł, po

drugie: powiada, że nie miał pieniędzy na życie...

J ó z e f.

Jakto-nie miał? Przecie ojciec mu posyłał...

M a ł k a.

Ojciec mu posyłał, jak długo mu się należało, ale jak się skończyły te pieniądze, co zostawił, to ojciec mu przestał posyłać. I o to właśnie proces! On furt gada, że zostawił bardzo dużo... osiem tysięcy, i że ojciec miał jemu i jego familji dawać procent, a potem, jak małe dzieci urosną, oddać im kapitał. A ojciec znów powiada, że od Jochaji dostał osiem setek, nie tysięcy, i te już spłacił. I stąd właśnie straszna kłótnia i straszny proces... Jak może być prawdą to, co Jochaja gada, kiedy on niema nic czarno na białem, żaden weksel, żaden kwitek, nie...

Józef (*skonsternowany*).

Tak mama mówi... Czekaj mama... Ja przecie tę historję znam... Przecie od tylu lat słyszę, że Jochaja ojcu na procent zostawił ośm tysięcy...

Małka (*z wybuchem*).

Nieprawda, nieprawda! On i jego familja tak gadają, ale niesprawiedliwie gadają! Nie mają recht, żaden weksel, żaden kwit...

J ó z e f

(ciężko walczy z myślami).

Niechże mama pozwoli... Mnie w głowie zaczyna się gmatwać... Zaraz... Ależ zdaje mi się, że i o rewersie na tę sumę słyszałem! Zdaje mi się, że ten rewers... ja kiedyś widziałem!

M a ł k a

(w pierwszej chwili jakby oniemiała).

Co? i ty synu? Ależ to być nie może! Tobie się przywidziało... Ty nie wiesz, co mówisz...

Józef (chodzi wzburzony).

Czy ja wiem. Może istotnie mnie się tylko zdaje... Może... Ja nic nie twierdzę... nic... Tak już temu dawno, gdy byłem w stosunkach z Jochają... Tak temu już dawno, gdy ojciec chciał mnie wykierować na handlarza, a ja wolałem uciekać do starego i słuchać jego nauk... O Bogu opowiadał... O nieśmiertelności duszy... o zburzeniu Jerozolimy... Dziwne... Taki to był na swój sposób idealista, marzyciel, szlachetny mędrzec... Nie zauważyłem nigdy, by był cheiwy grosza... *(Z wybuchem)*. I on miałby popełnić zbrodnię z cheiwości, on? ... Jest już stary... mama mówi, że słaby na umyśle... Dementia... tak... być może... uwiąd starczy, a na tem tle... Być może... W takim razie i ja mam obłąd! Ja ten rewers widziałem!

Małka (z krzykiem).

A ja ci mówię: nieprawda! nieprawda! Rewersu nie było i niema! Ojciec jest uczciwy człowiek, my nie żyjemy z krzywdy ludzkiej... To nieprawda, ja nie mogę wierzyć... Gdyby to była prawda, jabym umarła (pada na krzesło).

Józef (ujmuje ją za rękę).

Ależ moja mamó... Niechże mama się uspokoi. Ja nie jestem pewny... Może.. badać tej rzeczy nigdy nie badałem.. Może... Jochaja może być tylko narzędziem w rękach familji... Czy ja wiem..

M a ł k a.

Tak, tak, masz słuszność... Jochaja jest święta dusza, ale jego żona—to sekutnica... zła osoba, zła! powiadam! a mnie tymczasem tak z tem niedobrze... Synu! synu, nie masz pojęcia (z płaczem), jak ja jestem nieszczęśliwa... To mnie tak męczy. .. To mnie gryzie i spać nie daje... Ta mnie zabije! (Z mocą). I nie wierzę, i całemu światu powiem: Kłamstwo. Aby ojciec miał zabrać sobie cały majątek Jochai, i jego starej żony, i jego córki—wdowy, i jej dzieci—sierot...

J ó z e f.

Toby było potworne... (Wpada Mendele)

SCENA SIÓDMA.

(Małka, Józef, Mendele).

Mendele (szybko, zdyszany).

Przyjdą, bałbuste, przyjdą! Wszędzie byłem, wszystkich prosiłem i wszystkie

będą. Zaraz... jak się przespią po obiedzie, zaczną się schodzić... (*Spostrzega Józefa i staje zdumiony*): Gewalt, co to jest? Jakiś niemiec?

M a ł k a.

To mój syn, doktor, zapomnieliście...

M e n d e l e.

Aj-aj-aj, ja doprawdy zapomniałem... Ja doprawdy nie już głowy nie mam... ani kawałka głowy. Ny, przepraszam, panie doktor (*ktanir się kilka razy szybko całym ciałem*), bardzo przepraszam... Niech Bóg da zdrowie, panie doktor! Pan doktor-leben nie taki, jak te inne niemcy—prawda? Pan doktor-leben będzie miał serce dla nas, biednych żydków—prawda? Ale ja pitam i pitam... Toż przecie tamtego roku pan doktor-leben był w moim biednym domu, gdy żona była chora, a osiem sztuk dzieci piszczalo...

M a ł k a.

Jakto, Mendel? Skąd osiem?

M e n d e l e.

Ny, przecie jeden umarł... Jak ja mógł zapomnieć... Dziękuję (*kilka szybkich ukłonów*), dziękuję... Pan doktor-leben chciał ratować, tylko Bóg wielki nie chciał... Patrzcie, i ja zapomniałem... Gewalt, mam już tak kiepską głowę, aż fe! Bo ja choruję, żebym tak zdrów był! i jestem przytem tak zmęczony... oj, jak dziki jelen, co cały dzień

biega po górach... Balbuste-leben, nie gniewajcie się, ale musicie mi dać kapi-neczkę wódki!

Małka (nalewa).

Pijcie zdrowo!

J ó z e f.

Pij i nie gadaj tyle, bo aż uszy bolą...

M e n d e l e.

Co? ja dużo gadam? ja? niechże Bóg mnie skarże! Ja tylko chciałem winszować, panie doktor, potem... moja bieda przezemnie gada i moje dzieci i te ciężkie czasy... oj, paskidne czasy!

M a ł k a.

Dosyć, dosyć, Mendel. My tu gadamy, a tyle jest do roboty. Nic przecie nie przygotowałam dla gości... Na, macie klucz, idźcie do piwnicy, wynieście stamtąd wszystkie baryłki miodu. Trzeba je odszypuntować...

M e n d e l e.

Co? ja mam iść do piwnicy? po miód? po prawdziwy miód? (*Oblizuje się*). Ale idę, leczę, pędzę... (*Oblizuje się dwa razy*) Tam miód prawdziwy! (*Bierze klucz i odchodzi na prawo*).

SCENA ÓSMA.

(**Józef, Małka**).

J ó z e f.

Co to jest, mamó, co to za przygotowania?

M a ł k a.

Nie wiesz? toż dzisiaj ostatni dzień kuczek, kiedy cały Izrael cieszy się, że Bóg nam dał pismo święte, torę... Pamiętasz jeszcze, jak pobożni chodzą po kuczkach znaczniejszych obywateli, aby im zrobić honor i radować się razem i pić i śpiewać. (*Z tryumfem*). A dziś... największy honor nas spotka! (*Przybiera ton meża*). Rozumiesz? Ojca zrobili prezesem w kahale i starszym w synagodze i w magistracie — widzisz! Gdyby było prawdą, co Jochaja mówi, toby świat coś o tem wiedział... Gdyby to było prawdą, czyby cała gmina tu przyszła? — a zastępca rabina tu by przyszedł — Ha?

J ó z e f

(*chodzi, ciężko walcząc*).

Czy ja wiem... czy wiem, co o tem myśleć? Coś mi się majaczy... jak we śnie widzę ów rewers.. u zięcia Jochaji.. między papierami i książkami... Więc rozpocząć badania... powstać przeciw ojcu..?

M a ł k a.

Ale dosyć... dosyć... Czas do gospodarstwa... aj-aj-aj... jak już strasznie późno! Co do tego... twego szczęścia... potem będziemy mówić... i wszystko będziemy robić... ty (*całuje go*) korono moja! A wedle Jochai niech cię głowa nie boli... Ojciec pokazał, że wszyscy są po jego stronie, a to z rewersem jest nieprawda...

nieprawda... nieprawda! (*Wchodzi do mieszkania*).

SCENA DZIEWIĄTA.

(*Józef, potem Rózia*).

(*Józef przy stole w ciężkich pogrążony myślach. Rózia wychodzi z mieszkania, zagląda ostrożnie do szalasu, potem cofa się na swój próg i zaczyna wołać.*)

R ó z i a

Pani Manesowa, pani Manesowa!

J ó z e f.

To ona! (*Wybiega na podwórze, uchyla kapelusza, rozpromieniony*). Dzień dobry pani!

R ó z i a.

Ach, to pan! To mnie dopiero pan przestraszył! (*Podaje mu rękę*). Dzień dobry! Powitać i pogratulować serdecznie!

J ó z e f.

Dziękuję... bardzo dziękuję... więc pani już wie?

R ó z i a.

Mówiła mi mama pańska... Nie ma jej tam? Chciałam o coś zapytać...

J ó z e f.

Wyszła na chwilkę, ale jeśli pani sobie życzy...

R ó z i a.

Nie, dziękuję, niech się pan nie trudzi. Nie mamy znowu tak ważnych interesów ze sobą, żeby nie mogły czekać...

J ó z e f.

Tem lepiej... tem lepiej dla mnie.. To ja skorzystam z szczęśliwego trafu.. Cóż się u państwa dzieje? Jakże zdrowie?

R ó z i a.

Dziękuję, moje—światne, jak pan widzi, ale biedna mama ma się nieszczęśliwie... Obawiam się, że pan będzie w niej miał pacjentkę na dłuższy czas...

J ó z e f.

Niech pani będzie pewną, że wszystkich sił dołożę... Zresztą, cóż u pani jeszcze się dzieje?

R ó z i a.

Ach, Boże, cóż się u nas jeszcze może dziać! Przecie pan zna życie w miasteczku... Człowiek przyrasta do gruntu jak chwast..

J ó z e f.

(patrzy na nią z zachwytem, półgłosem):
Jak kwiat..

R ó z i a

(udaje, że nie słyszy).

I pleśnieje...

J ó z e f.

I to pani mówi? pani? Gdybym się nie bał narazić na zarzut prawienia banalnych komplementów...

Różia (z uśmiechem).

Już niech się pan lepiej nie naraża. Każde pochlebne słówko, co mi pan rzuci, musiałabym uważać za niezasłużone... tak mocno odczuwam, że pleśnieję...

J ó z e f.

Panno Róziu...

R ó z i a

(z swobodą i tonem szczerości.)

Zresztą, my się będziemy bawić w komplementa? my, co się znamy tak dawno... tak już dawno, że aż się boję zrobić obliczenie?! Niechże pan nie protestuje, pocóż między nami ten ton konwensowy! Ot, usiądźmy lepiej tu na ławeczce, jak za starych, dobrych czasów, i bądźmy znowu przyjaciółmi...

J ó z e f

(siada obok niej).

Jaka pani dobra!

R ó z i a.

Przecie komplement! i to najmniej zasłużony... Ej, panie konsyljarzu!

J ó z e f.

Przeciw temu tonowi ja znowu muszę zaprotestować..

R ó z i a.

Więc... panie Józefie... Czy tak?

J ó z e f.

Tak... tak...

R ó z i a.

Zobaczy pan, jak wprowadzimy fałszywą nutę, zagłuszy ona i zamąci wszystkie piękne wspomnienia naszej przeszłości... A mnie bardzoby ich było żal... bardzo... Ta ławeczka jest dla mnie historyczną, musi pan wiedzieć...

J ó z e f.

Dla pani?

R ó z i a.

A co pan sądzi? Że jestem istotą bez pamięci? Wszak na tej ławeczce spędziliśmy tyle czasu razem... i książki nieraz czytywaliśmy...

J ó z e f.

I nie więcej?

R ó z i a.

A coby pan jeszcze chciał?

J ó z e f.

To już u mnie ta ławeczka wywołuje bogatsze wspomnienia...

R ó z i a.

Ciekawam bardzo...

J ó z e f.

Dużo, bardzo dużo dałoby się powiedzieć... Wie pani, kiedy ta ławeczka odgrywała już rolę w mojem życiu?

R ó z i a.

Naprzykład?

J ó z e f.

Kiedy miałem lat czternaście. Byłem obskurnym wyrostkiem, ledwie umieją-

cym czytać i pisać... Brudny, zaniedbany... ale umysłowo dość rozwinięty skutkiem studjów hebrajskich i rozmyślań... wcześniej zacząłem też spoglądać... na tę ławeczkę... I gdy tak widziałem... panią obok matki... panią, pełną... wdzięku..., panią, która byłaś dla mnie uosobieniem wytworności... wielkopańskiego szyku... wykwinu, cywilizacji...

R ó z i a.

Ależ panie! Czy nie za dużo kwiatów?

J ó z e f.

Ze mną zaczęło się dziać coś niezwykłego... Pani stałaś tak wysoko, a ja tak nisko... że i marzyć nie mogłem o zbliżeniu się, i tylko z kącika... ot, ze stopni naszego mieszkania, z za muru, mogłem patrzeć... na tę ławeczkę z niemym zachwytem! i w duszy się modlić...

R ó z i a.

Proszę... proszę! Dziwny zdradzał pan gust! Ale wybacza się to panu, ze względu na młodość winowajcy i na fakt, że rzecz należy już do przeszłości... do dawno minionej przeszłości!

J ó z e f.

O, niech pani nie szydzi, panno Róziu! Bo zna pani ciąg dalszy tej... historii mego życia? Jeżeli ja znikłem z miasteczka i stałem się innym człowiekiem... jeżeli ja zacząłem się uczyć, walcząc z najokropniejszymi przeszkodami, i po kilku

latach mogłem pójść na uniwersytet... to wszystko dzięki temu, iż ogarnęła mię szalona tęsknota... aby kiedyś... na tej ławeczce... móżdż zasiaść... obok pani!

Różia (z uśmiechem).

Patrzaj pan, a myśmy tego nawet nie przeczuwały... Ani ja, ani ta ławeczka...

J ó z e f.

Kiedy bo pani ciągle ironizuje, a ja mówię z serca... Z całego serca... Pani ironizuje... a dla mnie ta chwila... Panno Róziu, ja lata czekałem na tę chwilę! Walcząc i pracując ciężko, ja ciągle myślałem...

R ó z i a

(*podnosi się zimno*):

Przepraszam pana, ale zdaje mi się, że mnie mama woła...

J ó z e f.

Pani ucieka... Pani się gniewa—widzę... Ależ panno Róziu... nie, pani stąd nie pójdzie! Pani musi zostać, pani musi mię wysłuchać! (*chwytą ją za rękę*).

R ó z i a.

Muszę? (*Uwalnia swą dłoń*).

J ó z e f.

Od tak dawna... od pierwszych lat uniwersyteckich mam wyznaczenie ciągle na ustach, a pani nie pozwalasz go wypowiedzieć... Kiedy uczucia mię rozsadzają, pani umiesz jednym spojrzeniem, jednym

zwrotem stłumić lawę moich słów... Dotąd było to zrozumiałe... Byłem studentem, bez stanowiska, bez samodzielności... Ale teraz... teraz... Co stoi na przeszkodzie naszemu szczęściu — prócz woli pani?

R ó z i a.

Ale... ja nie mam jeszcze w tym kierunku żadnej woli... To wszystko zaskoczyło mię tak nagle... niespodziewanie...

J ó z e f.

Niechże pani wejdzie w siebie... Czy być może, aby dziesięć lat mego niemego uwielbienia pozostało bez sugestji, bez skutku? Panno Róziu, niech mnie pani nie trzyma na torturach! Ja czekam zbawienia. Wie pani... jestem człowiekiem słabym... zmęczonym pracą i nauką i wyczekiwaniem tak okropnym... W dodatku czeka mię nowa walka... walka z ojcem... Pani zna jego spór ze starym Jochają?

R ó z i a

(daje znak potakujący).

J ó z e f.

Mnie ta sprawa jest mocno podejrzana... Kto wie, czy nie będę musiał wywierać na ojca pewnej presji... Dziś potrzebuję więcej niż kiedykolwiek duszy bliskiej, serca kochającego...

R ó z i a

(marszczy czoło).

Jakto... nie rozumiem dobrze... Pan miałbyś powstać przeciw ojcu... pan—teraz?

J ó z e f.

Nie wiem jeszcze... ale...

R ó z i a.

Ale bez pomocy ojca pan jeszcze długo nie będziesz mógł się obejść! Na prowadzenie domu pan tak rychło nie będziesz zarabiał!

J ó z e f.

(uderzony tą myślą).

To prawda...

R ó z i a.

I patrz pan... co za masa trudności! Czy sądzi pan, że ojciec... wogóle... w stosunku do mnie tak łatwo się wzniesie nad... przesady i zwyczaje swojej sfery? I że to uczyni... jak pan zaczniesz z nim walczyć?

Józef (po chwili).

Nie jeszcze nie sędzę... Nie zastanawiałem się nad stroną materjalną... Mnie się w głowie gmatwa... Ale co to wszystko znaczy wobec kwestji tysięcy razy ważniejszej? Wobec tego, co tylko od pani zależy!

R ó z i a.

Odemnie? Ale myśmy dotąd sobie prawie obcy!.. Ja z mojami uczuciami nie jestem tak w porządku...

J ó z e f.

Boże, Boże! Więc...

R ó z i a.

Więc... przedewszystkiem potrzebuję czasu! A teraz do widzenia! mama mnie czeka. Do widzenia! (*Józef kłania się machinalnie. Ona u progu mieszkania odwraca się*). Ale wszak pan nas odwiedzi, panie Józefie... rychło... dzisiaj jeszcze... nieprawda? Bardzo o to proszę! Pan wie, jak... mama pana lubi... Więc do widzenia! (*Z przyjaznym uśmiechem podaje mu rękę, którą on gorączkowo ściska*). Do widzenia! (*Wchodzi do mieszkania*).

SCENA DZIESIĄTA.

(*Józef, Manes*).

M a n e s.

(*wpadł był podczas ostatnich słów ze strony prawej do mieszkania, jakby dla wydania dyspozycji, stamtąd wnosi do szatasa ławkę, wołając*): Żono, żono, a gdzie nasz doktor? (*Znowu zagląda do mieszkania, jakby po odpowiedź, potem wychodzi na podwórze i spostrzega Józefa, siedzącego na ławeczce w ciężkiej zadumie*). Aa... dobrze że jesteś! Słuchaj, tu zaraz masa gości do mnie przyjdzie. Pamiętajże, abys mi

wstydu nie zrobił... Nie mów nikomu, żeś tu w święto przyjechał—rozumiesz!

J ó z e f.

Daj mi ojciec spokój! Ja w ogóle z tymi gośćmi nie chcę się widzieć. Pójdę sobie z domu...

M a n e s.

Jakto nie chcesz? dlaczego nie chcesz? poco nie chcesz? Toż tu przyjdą najpierwsze osoby z całego miasta... Jak ty ich złapiesz, będziesz największym doktorem. A ty...

J ó z e f.

Oni mi nie uciekną... Tymczasem muszę myśleć o czem innym...

M a n e s

(rzuca okiem na mieszkanie Eisenów).

Aa, ty pewnie musisz myśleć o tej tam... o tej grafini... Jeszcze tego waja ci brakowało... A ja ci powiadam, że z tego nic nie będzie.. Rozumiesz? Póki ja jeszcze mam coś do gadania, nie pozwolę nigdy! *(Miarkuje się).* Wiesz, ona mieszka u mnie lat dwadzieścia... ja ją znam bardzo dobrze... już to ja się na ludziach znam lepiej, niż ty, choć nie jestem doktor, i powiadam ci, że ona nie dla ciebie—rozumiesz? Ona nietylko dzia-dówka bez centa, ale osoba... fałszywa... i chytra... Już ja się na ludziach znam!

J ó z e f

(przyskakuje doń).

Ojczy—czemu ubliżasz?! Ja na to...
(*Chwilę walczy z sobą. Z hamowaniem wzburzeniem*). Zresztą—o tem później... Teraz nie mam czasu, bo mam coś ważniejszego do czynienia. Idę na miasto... może znajdę tam starego Jochaję... Z nim muszę pomówić—rozumie ojciec? (*Patrzy ojcu bystro w oczy, potem odchodzi na lewo. Manes stoi przerażony. Zastona szybko spada*).

(*Koniec aktu pierwszego*).

A K T D R U G I.

(Scenerja poprzednia. Na ławeczce siedzi Rózia z książką w ręku. W sztalasie na stole kilkanaście butelek. Małka z baryłki do połowy napętnia je miodem. Manes dolewa spirytusu i wody).

SCENA PIERWSZA.

(Manes, Małka, Rózia).

M a n e s.

Nu, uważaj, ty fanaberjo. Chcesz, żebym ja zbankrutował, albo żeby goście się popili jak szewcy, tyle miodu dajesz? Ty już nigdy nie będziesz miała rozumu! *(Odlewa z butelki miodu, dolewa wody).* Nu, dosyć, dosyć, te cztery butelki dla mnie i rabina—rozumiesz?

M a ł k a.

Pamiętam...

M a n e s.

Aa... a gdzie twój syn, ha? Dotąd jeszcze nie wrócił? *(ona chce coś mówić)*. Cicho, cicho... już widzę, chcesz go bronić! Bodaj wszystkie moje wrogi miały takich synów! Ładnej doczekałem się pociechy... Ale to nic... nic! Choćby cały świat powstał, ja wrogom jeszcze głowy skręcę... Tysiączki, tysiączki wyrzucić! a co dla mnie zostanie, ha? To tylko dla tych kapcanów z małego miasteczka ja jestem Rotszyld, ale...

Małka *(nieśmiało)*.

Ale Jochaja był zawsze tak świętą duszą...

M a n e s.

Co? i ty także? ty? Ah! *(rzuca krzesłem)*—to już chyba koniec świata... Jak mi jeszcze raz usta otworzysz... Do roboty ruszaj, do roboty! Idź! idź—mówię! *(Małka zabiera butelki i cicho odchodzi. Manes rozpina bekieszę, chłodzi się, wychodzi na podwórze)*.

SCENA DRUGA.

(Manes, Rózia).**M a n e s**

(sposstrzega czytającą, mierzy ją kilka razy gniewnem spojrzeniem, nareszcie podchodzi i uchyla zlekka czapki).

Dzień dobry!

R ó z i a

(nie podnosząc głowy).

Dzień dobry.

M a n e s

(po kilku chwilach milczenia).

Co pani robi?

R ó z i a.

Czytam.

M a n e s.

A ja myślałem, że pani sobie czekasz
na mojego doktora!

R ó z i a

*(zrywa się, chce coś mówić, lecz siada i od-
powiada spokojnie).*

Nie potrzebuję tutaj czekać. Mam go
aż nadto, gdzie chcę i kiedy chcę.

M a n e s

(przystępuje, mierzą się groźnie).

A przecie mieć go pani nie będziesz!

R ó z i a

(z zimnym uśmiechem).

Tak pan sądzisz?

M a n e s.

Tak ja chcę.

R ó z i a.

A jeżeli ja zechcę inaczej?

M a n e s.

Będzie tak, jak *ja* każe.

R ó z i a.

A ja sędzę przeciwnie. Ja sędzę, że nietylko syn, ale i pan jeszcze do mnie przyjdiesz... prosić.

M a n e s.

Aj-aj-aj, takie niemądre gadanie u tak mądrej osoby... Co mnie pani możesz dać, ha?

Różia (*wstaje*).

Syna! wówczas np. kiedy on będzie za- nadto po stronie starego Jochaji. Adieu panu! (*Wchodzi do mieszkania*).

SCENA TRZECIA.

(**Manes**, potem **goście**).

(*Manes patrzy za odchodzącą skonsternowany. Kręci głową, uderza się w czoło. Zdaleka dochodzi śpiew gości, smętny, wrzaskliwy*).

Jeden z młodych

(*wpada*).

Idą już... idą...

M a n e s.

Ah! przecie raz! Myślałem, że się nie doczekam... (*Na prawo wchodzi orszak gości. W środku dajon, szpakowaty, poważny. Otacza go koło żydów starszych w futrzanych czapkach i świątecznych bekieszach; podo-*

choceni, weseli, śpiewają, ale nie nad miarę. Najgłośniej śpiewa gromada młodych; niektórzy w aksamitnych kapeluszach, niektórzy w kolpakach, przeważnie biedacy, w zniszczonych ubiorach, chusydzi w pantoflach i długich, brudnych, pończochach. Ci pierwsi wybuchają śpiewem, są żywiołem najwzruszliwszym, po części też komicznym).

Głosy z tłumu.

Git jomtow! git jomtow!

Manes (na progu szatasu).

Daj Boże i rok dobry!

(Tłum wtłacza się masą, śpiewając huczną pieśń, w której powtarza się refren „symchas tory“. Manes wita, kiwając uprzejmie głową do starszych i wskazując im miejsca. Na naczelnem miejscu sadowi dajona, który w zadumie gładzi brodę, mało mówi i rzadko bierze udział w śpiewie. Ubożsi i młodzi stoją za plecami siedzących, pokręcają pejsy, poszturkują się, ciagle w ruchu).

Manes (do dajona).

Błogosławiony bądź przybyszu! Dziękuję wam, rebe, żeście do mnie przyszli.

Dajon (ma głos gardłowy).

Kto wchodzi w dom sprawiedliwego, wchodzi w dom boży...

Jeden z tłumu.

Oj, sprawiedliwy on, sprawiedliwy, zobaczmy, czy sprawiedliwy miód poda!

Drugi z tłumu.

I sprawiedliwą miarę na moje spragnione gardło...

M a n e s.

Będzie wszystko, wszystko będzie... Pod chajrem powiadam, że kupiłem najlepszy miód, jaki tylko mogłem dostać. Miód zbaraski! Mnie na to stać! Niechaj kahał wie, jaką sobie obrał głowę...

Jeden z gości

(na str. do drugiego).

Host'i gewidział? Niech go kolki złapią, jak on gada! Także mi głowa, chyba od jego kobyły, kiedy jeszcze był bałagulą...

M a n e s.

Mnie na to stać, rozumiecie?

D a j o n.

I coby wszyscy wiedzieli, jaki wielki dzień dziś mamy. Aj-aj-aj, jaki Bóg jest dobry, ten nasz Bóg żydowski. Niedosyć, że nam dał świętą torę i sześćset trzydzieści przykazań, abyśmy strzegąc ich mogli pójść do raju, ale jeszcze nakazał, byśmy się z tego powodu także na tym świecie radowali i cieszyli. Tak jak serce pobożnego skacze do wiedzy i ma rozkosz z mądrości, tak niech i grzeszne ciało używa rozkoszy w ten dzień święty. Tak, tak... Więc cieszymy się w święto tory, cieszymy się w Panu! *(śpiew).*

SCENA CZWARTA.

(Ci, Małka, potem Mendele).

Małka.

wnosi kilkanaście szklanek w koszyku, oraz dwie butelki). Dobrych świąt, rebe! i wam panowie, rabosaj! (*Daje mężowi butelki*).

Dajon.

I wam, żono reb Manesa!

Mendele

(trochę podchmielony z zakasanemi polami, wnosi kilka butelek). Git jomtow, jüdelech! i roku dobrego! Już miód idzie! idzie! a co za miód! taki miód, to już nie jest miód, to konfitury, to lekarstwo, to po prostu złoto! (*Młodzi otaczają go, wśród krzyków i śmiechów wyrwycoją mu butelki*). Aj-aj-aj, Gewalt! puście mnie, ja sam ustawię... Przecie nie jestem pijany!

Manes.

Ależ czekajcie ludzie, czekajcie kawalery, każdy dostanie! Obiecuję każdemu całą szklanekę miodu i coś dobrego do przekazania. Tylko teraz oddajcie. Naprzód starsi... (*Nalewa i rozdaje*).

Dajon (*kosztuje*).

Le'chajim, panowie! le'chajim, rabosaj! na zdrowie, Manes! Oby Najwyższy dał nam rok dobry, rok zdrowy, rok szczęśliwy! Oby dopomógł wszystkim swoim dzieciom żydowskim!

Starsi.

(popijają do dajona i Manesa).

Le'chajim! le'szulim! Na życie i zgodę! Oby Bóg dopomógł!

Dajon.

Dobry napój, kosztorny napój, orzeźwia wszystkie członki...

Jeden z gości *(po cichu do sąsiada).*

A mój aż drapie w gardle, jak ostra tabaka...

Drugi z gości *(j. w.).*

A j-aj-aj, co w tem dziwnego... Rebe dostał z innej butelki. Już ja mam oczy! Bałaguła zawsze zostaje bałagułą! *(Manes nalewa młodszym po pół szklanki, starszym dolewa).*

Manes *(pijąc).*

Le'chajim, rabosaj! Oby Bóg dał.. co ma dać? Każdemu dobre interesa!

Starsi

(do siebie prawie równocześnie).

Le'chajm!

Żeby nam Bóg zesłał błogosławieństwo!
 Żebyśmy się doczekali czasów Mesyasa!
 Żebyście zrobili terno! *(ściskają się za ręce piją).*

Małka

(wnosi na wielkiej tacy kawałek piernika).

Wybaczcie, rabosaj, jeżeli miodownik nie jest dobry... Sama pieklam... bez pomocnicy...

Kilku młodych równocześnie.

Co? Wasz piernik niedobry? Żeby miał rok tak dobry! Tak pachnie... Aż mi przypomniał moje wesele! Pokażcie no ten specjał... *(Rzucają się na Mendla, który wniósł był także tace, wyrrywają kawałki).*

Mendele.

Gwałt, reb Manes! Oni wszystko porzą, te łajdaki! Ratujcie, oni mnie szturkają, oni biją! Gwałt, już mnie zamordowali.

Manes.

Rabosaj, naprzód starsi i rabin, oby żył!
Kilku młodych *(odpowiada śpiewem).*

Manes.

(Odsuwa młodych i podaje torę starszym).
Jedźcie rabosaj, i niech wam będzie na zdrowie! *(Ogólna rozmowa, niektórzy swoje porcje zabierają do kieszeni).*

Mendele

(przynosi świeży zapas, Malka rozdaje).

Nie bójcie się, dzieci, nie bójcie się! Nasza gospodyni, oby żyła 120 lat, ma w szafie więcej.. takie specjały, że aż strach! *(Wynosi butelki, na podwórzu każdą wysąca do ostatniej kropli).*

Jeden z młodych.

Proszę was, Małke-leben, dajcie mnie jeszcze piernika. Mam w domu braciszka.

Drugi z młodych.

I mnie kawalek, i mnie! Dla mojej starej babki.

M a n e s.

Nie można! nie można! co to sobie myślicie? jesteście dzieci z chajderu?

Jeden z gości (*na str. do sąsiada*).

A co? bałagula zawsze zostaje bałagulą!

M a n e s.

Le'chajim, panowie! Oby nam przez cały rok rok było tak dobrze, jak dziś... Tak mi na sercu wesoło! (*ciągle pije*).

Jeden z starszych.

Na zdrowie, Manes! Oby Bóg dał, byśmy wszyscy byli w Jerozolimie!

Manes (*podchmielony, nagle urażony*).

Co—Jerozolimie? Kto mnie gada o Jeruzelajim? Jochaja tam był, ale wrócił, bo jest kapcan i niedołęga. Ale co mnie to tego, ha? ja mam czyste sumienie, i niech mnie nikt o Jerozolimie nie gada, rozumiecie? (*gwar*).

D a j o n.

Cicho, sza! Nikt ci tutaj brzydkiego słowa nie powiedział, Manes. Dzisiaj święto i spokój na cześć Najwyższego. Cicho, narodzie! Teraz będę wam opowiadał słowo boże...

G ł o s y.

Cicho! Rebe będzie mówił torę! Sza! Ssss... sza! (*Uderzają w stół, klaskają, hałas się wzmacnia, stopniowo słabnie*).

D a j o n.

Rabosaj, słuchajcie! Kiedy Bóg ukochał swój lud i dał mu świętą torę... (*Łokciami opiera się o stół i mówi charakterystycznym śpiewnym głosem talmudystów—coraz ciszej, niewyraźniej. Obecni przysuwają się, skupiają nabożnie, otaczają go ściśniętym kołem, głos jego ginie. Od strony widzów ktoś wychodząc zamyka drzwi (wzgl. zsuwa zasłone)—wewnątrz szalasu zostaje na czas dwóch następnych scen zakryte*).

SCENA PIĄTA.

(Józef, Jochaja).

(*Od lewej strony ulicy ukazują się Józef i Jochaja. Ostatni, starzec wysoki, z długą, siwą brodą, ubrany schludnie, opiera się na łasce o srebrnej galce. Twarz jego, rozjaśniona dobrotliwym uśmiechem, często zamysłona. Mówi powoli, z powagą nie bez humoru pogodnej duszy*).

J ó z e f.

Dziękuję wam, panie Jochajo, żeście mnie aż tutaj odprowadzili. Jestem bardzo kontent z naszego spotkania. Widzę, że mimo wieku zdrowie wam doskonale służy, a to najważniejsza... Jak-

byśmy wczoraj się rozstali, tak wyglą-
dacie, a przecie nie widzieliśmy się bli-
sko dziesięć lat...

J o c h a j a .

Przed trzema tygodniami minęło aku-
rat ośm lat, gdy pan Józef wyjechał
z wakacji i ze mną się pożegnał...

J ó z e f .

Co za pamięć... Co za żelazna pamięć...
podziwiam! Ale skąd nagle ten tytuł
„pan” w waszych ustach, panie Jochajo?
Ja dla was pragnę na zawsze zostać Jo-
siem, bom zawsze tak samo wdzięczny
i tak samo was szanuję, jak wówczas,
gdysście we mnie wpajali swoje nauki.

Jochaja (z uśmiechem).

Niechże cię Bóg błogosławi, moje
dziecko. Widzę, że świat przecie nie ta-
ki zepsuty i nieprawdą jest, co źli albo
słabi ludzie powiadają, że wszędzie tyl-
ko złość rządzi a zgnilizna się panoszy...
Sprawiłeś mi wielką radość, chłopcze,
większą, niż myślisz...

Józef (z pośpiechem.)

A może będę mógł wam sprawić więk-
szą, faktyczną... Bardzo tego pragnę!
A teraz—dowidzenia, panie Jochajo!

J o c h a j a .

Dlaczego mamy się rozstać, młodzień-
cze? Idziemy, zdaje się, jedną drogą. Ja
idę do szalasu twego ojca.

J ó z e f.

Jakto? do mego ojca? pan—do mego ojca?

Jochaja.

Po twojem zdziwieniu, synu, poznaję, że wiesz już jaki rów głęboki między mną a twoim ojcem istnieje. Przykre to i serce bardzo mnie boli. Ale dosyć. Z tobą ja mówić o tem nie chciałem i mówić nie będę. Niech mnie Bóg broni od tego grzechu!

Józef (gorąco.)

O nie, panie Jochajo! Rozumiem wasze skrupuły, ale ich nie uznaję. Na mnie ciąży obowiązek, a to najważniejsza.

Jochaja (lagodnie).

Nie, synu. Najważniejsze jest, abyś spełniał przykazania boże. Pamiętasz ty jeszcze pismo? *Wprzódy* tam napisano „czcij ojca twego i matkę swoją”, a potem dopiero „czcij Przedwiecznego”. Rodziców swoich czcij i szanuj, więc przede wszystkim nie bądź ich sędzią. Powiedz sam, do czego by świat doszedł, gdyby dzieci miały wydawać wyroki na rodziców? Słuchaj, synu, talmud nasz opowiada: Mędrcy rabinatu spyтали rabi Eleazara, jak wielką powinna być cześć ku rodzicom. Ten odpowiedział: Mnie się pytacie? spytajcie się raczej Demy, syna Nesyna. Ten ostatni był bałwochałcą i piastował urząd naczelnika rady

miejskiej. Matka jego, chcąc go raz ukarać, uderzyła go trzewikiem wobec całego zgromadzenia miejskiego, i gdy jej trzewik skutkiem mocnego uderzenia z rąk wypadł, Dema podniósł go i oddał matce, aby się nie musiała schylać. Widzisz, chłopcze...

J ó z e f.

Nie nie widzę, panie Jochaja. Tam syn darował krzywdę własną, własną!

J o c h a j a.

A przedewszystkiem nie rezonował i nie sądził, tylko poprostu kochał, jak Najwyższy przykazał.

J ó z e f.

Oh, gdyby to zawsze można było! Zresztą, ja nic nie mówię, nic nie przyrzekam... Dopiero co przyjechałem i na moją głowę zwała się masa takich przykrości... Ach, życie jest straszne... Więc idziecie do nas?

J o c h a j a.

Idę, synu. Szames mnie zaprosił. A choć to może omyłka, to czemu nie iść? Wierz mi, ja do nikogo nie czuję nienawiści. Pójdę, zabawię się trochę w święto razem z innymi pobożnymi, pogadam trochę o świętych rzeczach z dajonem, który jest wielkim uczonym w zakonie, i dusza moja będzie się radować. Jak jest dzień uroczysty, nie lubię nosić brudnej sukni codziennej i jadać prostych po-

traw codziennych. Na interesa czas jutro.

J ó z e f.

Ha, jak chcecie! Więć do widzenia!

Jochaja.

Niech cię Bóg Zastępów prowadzi i strzeże. (*Józef staje przed mieszkaniem Eise-nów. Zastanawia się chwilę, patrzy na zegarek, potem z wyrazem decyzji podchodzi i puka do drzwi. Słychać: „proszę”! Józef tam znika. Jochaja powolnym krokiem zbliża się do szalasu. Nagle z ulicy przybiega żona jego, Rachel, i córka Ester. Rachel wysoka, chuda, zgryźliwa, Ester smutna, bezkrwista, bierna; jej sukni trzyma się drobne dziecko, starsza dziewczynka za nią drepce).*

SCENA SZÓSTA.

(*Jochaja, Rachel, Ester, dzieci.*)

Rachel (*głosem piskliwym*).

A co? nie mówiłam? nie mówiłam ja! że ten stary przyjmie zaproszenie i pójdzie do kuczki tego gałgana i złodzieja. Widzisz, Ester, on tam prosto łązi, bo-daj z piekła nigdy nie wylazł... Jochaja Jochaja!

E s t e r.

Ależ, mame...

Jochaja (*odwraca się*).

Ty tutaj, moja żono? czego chcesz?

Rachel (*zapalczywie*).

Czego ja chcę? ani mi się waź wejść

do domu tego rabuśnika, tego mordercy, żeby jego kości w grobie nie miały spokoju! Ani mi się ważyć...

E s t e r.

Ależ mame...

R a c h e l.

Nie wejdiesz potem chyba do mego domu, rozumiesz? Jak można nie mieć wstydu w oczach i dla marnego poczęstunku, co tam dadzą, zapominać, że to wróg nasz—co wróg! złodziej, zbój, piekielnik, który nas starych chce do grobu wpędzić, a tę ot wdowę z dziećmi puścić z torbami...

E s t e r.

Ależ, mame...

Jochaja (*surowo*).

Rachel, kiedyż to nauczyłaś się plamić swoje usta tak brzydką mową? Żyjemy z sobą lat więcej niż pięćdziesiąt...

R a c h e l.

A teraz na starość żebrać nam przyjdzie!..

Jochaja (*z naciskiem*).

Żyjemy z sobą lat więcej niż pięćdziesiąt i czy nie przekonujemy się codzień, że jest nad nami Bóg wielki, Bóg dobrotliwy, Bóg-ojciec, który swoich dzieci nie opuszcza...

R a c h e l.

Ale teraz... teraz... (*z płaczem*) Bóg nas chyba całkiem opuścił! Takie nieszczę-

ście na nas się wali, a ty sobie tego nawet do serca nie bierzesz... I ciągle jesteś spokojny i tylko twą nauką się zajmujesz, jakby nic... Teraz w dodatku idziesz do nory tego wilka, tego...

E s t e r.

Ależ mame...

R a c h e l.

Tego złego człowieka...

J o c h a j a.

Moja żono, wszystko to, co ty mówisz, nie ma za grosz zdrowej myśli. Ty myślisz, że coś się może dzieć na świecie bez woli Boga? Marny generał, jak kieruje wojną, ma plan, a Bóg potężny, który kieruje całym światem, planu—myślisz—nie ma? A ten plan ty chcesz sądzić, ty? Ja mogę tylko modlić się i prosić Pana świata o łaskę i litość, a ty... At, z tobą niema już co mówić, ty już całkiem tracisz rozum i serce żydowskie. (*stuka laską*).

E s t e r.

Ależ tate...

J o c h a j a.

Słuchaj, żono. Wiesz ty, dlaczego niewiasta została stworzona z kości wyjętej z boku Adamowego, a nie z innej jakiej części ciała? Mędrcy nasi tak to tłómaczą: Kobieta stworzona z głowy—uważałyby się za zbyt mądrą, z oka — byłyaby zbyt zalotną, z ucha — byłyaby

ciekawą, z ust—zbyt gadatliwą, z rąk—zanadto czynną, z nóg—zanadto zabiegliwą... Stworzył ją więc Bóg z skromnej i ukrytej części ciała Adamowego i chciał przez to powiedzieć: niewiasto, bądź ukrytą i skromną częścią swego męża, a nie chciej być jego głową... Rozumiesz to, żono?

R a c h e l.

Ależ mnie serce pęka, Jochajo. Ja drżę ze strachu przed tym złym człowiekiem i przed jutrem...

J o c h a j a.

Bóg jest nad nami! ten Bóg, który przodków naszych wybawił z rąk tak złych ludzi, jak Faro i Haman. O tem nie zapominaj, ani o tem, że Jego tylko pokutą i modlitwą i dobrymi uczynkami możemy sobie zjednać. (*Rozkazująco*).
A teraz idź do domu!

E s t e r.

Chodź, mame...

R a c h e l.

Ha, rób, co chcesz, mężu, ale mnie serce pęka (*powoli odchodzą*).

SCENA SIÓDMA.

(*Jochaja, potem Manes i tłum*).

J o c h a j a (*sam*).

Oj, to żebro Adama przecie bardzo słaby materiał... Ciągłe się kruszy, a ko-

bieta sięga po przymioty wszystkich członków, z których Bóg jej nie stworzył... Ale wie Pan, co czyni... Nu, teraz do Manesa. (*Podchodzi*). Co to jest? tak tu cicho, jak na cmentarzu... Ani jednego głosu... (*Otwiera drzwi szatasa. Tam dajon ciągle coś wyklada. Wszyscy słuchają w nabożnem skupieniu*). Git jomtow, rabosaj! Dobrych świąt, rebel!

(*Wszyscy zrywają się. Nagle zamieszanie. Niektórzy odpowiadają mu przyjaźnie, inni patrzą z przestachem lub ironją na Manesa*).

M a n e s.

To wy, reb Jochaja, u mnie?

J o c h a j a.

Co dziwnego... Przecie zaprosiłeś. Był Mendel.

Manes (*rzuca się na szamesa*).

Ty bydle, ty kapcanie jeden! Co ty narobiłeś?

M e n d e l e.

Oj, Gewalt, reb Manes, Gewalt! Wyglądacie tak strasznie... Ny, co ja zrobił? Ja nie nie zrobił. Miałem zaprosić wszystkich obywatelów i wszystkie osoby. A do kogo miałem pójść, jak nie do reb Jochaji, który jest jedwabny człowiek i ma ziemię z Palestyny?

J o c h a j a.

Uspokój się Manes, uspokój się. Ten biedny człowiek nic nie winien. Jak kto nie umie rozkazywać, niech się nie dzi-

wi, że z jego rozkazów wychodzi głupstwo. Ja trochę wierzyłem, żeś zaprosił... myślałem, że dobry duch podszeptał ci może piękną radę, ale zresztą, nic sobie nie obiecywałem. Przyszedłem głównie, aby razem z całą gminą cieszyć się świętem i posłuchać mądrych nauk naszego dajona, oby żył!

M a n e s.

Nu, to co innego...

D a j o n.

Dobrze mówi reb Jochaja. Jemu z ust zawsze płynie miód mądrości. Siadajcie tutaj przy mnie, reb Jochaja!

Jeden z starszych

(do sąsiada cicho).

I co wy na to, ha? *(szepty).*

Drugi z starszych *(j. w.)*

Stary jest nietylko uczony ale i mądry człowiek! Nu, nu, to dopiero będzie fajń-interes, jak on zacznie tego bałagule tak wobec całej gminy tarmosić...

M a n e s

(który tymczasem ochłonał).

Aa, jeżeli wy tak gadacie, reb Jochaja, to co innego... To dla mnie wielki honor i wielka radość, że wy w swoim sercu nie macie dla mnie nienawiści...

J o c h a j a.

Ja nienawiści do nikogo nie chowam, Manes. Nienawiść na świecie nie zrobiła jeszcze nigdy nic dobrego i nic mądre-

go. Dlaczego ja cię mam nienawidzieć?
Ja nad tobą płaczę!

M a n e s.

Aj-aj-ja, reb Jochaja, znowu macie coś złego na języku. A ja myślałem, żeście tutaj przyszli, jak przyjaciel. Byliśmy przecie kiedyś dobrymi braćmi, póki pieniądz nas nie rozdzielił. Teraz może da Bóg, że stary czas znowu nastanie.. Dlatego ja bardzo się cieszę, reb Jochaja, żeście tutaj przyszli. I myślę sobie, żeście zapewne sami już ujrzeli, jaka to była... omyłka, i jakie... zapomnienie, kiedyście na mnie rzucili brzydkie podejrzenie, że ja sobie chcę zabrać niby wasze jakieś pieniądze...

Głosy z tłumu.

Co? co on gada? A to dopiero go złapał! Mądry Manes...

Manes *(coraz energiczniej)*

Ja sobie myślę, że kiedy dzisiaj u mnie się zgromadził cały kahał i kiedy wyście także tutaj przyszli, to widocznie nie jest prawdą, co złe języki na mnie gadają... Inaczej, ktoby ze mną chciał żyć? Ale ja się czuję czystym, mam sumienie spokojne, teraz wy, reb Jochaja, swoim przybyciem sami mi dajecie świadectwo...

G ł o s y.

A to ci głowa dopiero! Jak on to wyspekulował... Manes ma recht, Manes mądrze mówi...

Jochaja (*zrywa się oburzony*),

Wiesz co, Manes, trochę za dużo śmiałych słów wyplułeś ze swoich ust. Ja nie chcę dzisiaj o interesach mówić, bo dzisiaj święto tory, a mnie aż serce rwie się, jak się przykazania boże łamie. Ale to ci muszę powiedzieć: Źle robisz, Manes! Muszę ci powiedzieć, jak mówił rabi Hillel: ty się troszczysz o gości, których masz w domu, a zapominasz, że i biedna twoja dusza jest gościem w ciebie: dziś ona tu, jutro może być *przed sądem*... Ty zapominasz, że jak cię anioł śmierci powoła przed Najwyższego, nie będzie ci towarzyszyć twoja familja, ani twoje złoto, ale towarzyszyć ci będą twoje uczynki: dobre i złe... Ty o tem zapominasz, Manes!

M a n e s (*wzburzony*).

Co tam anioł śmierci, co wy mnie tu straszyć przyszłście? Dlatego, że macie palestyńską ziemię, myślicie, że tylko wy jedni będziecie mieć spokój w grobie, i nikt więcej? (*Hamuje się*). Ja was bardzo szanuję, reb Jochaja, i z waszej ziemi palestyńskiej bardzo chciałbym mieć poduszeczkę, (*znowu z wybuchem*) ale to jeszcze nie racja, bym wam oddał tyle majątku, abym wyrzucił przez okno tyle tysięcy!

Jochaja (*opanowuje się*).

Wybaczcie, rabosaj, ale widzę, że źle trafiłem... Widzę, że tutaj nie o świętej torze będzie mowa, tylko o rewersie Ma-

nesa, o którym przecie wie każde dziecko. Lepiej ja sobie stąd pójdę... Poco psuć dzień boży...

Manes (*w uniesieniu*).

Patrzcie go, jaki mi pobożny! Myślałby kto, że to jeden z owych trzydziestu sześciu sprawiedliwych, co to w przebraniu chodzą po świecie... A ja mówię, że to nieprawda, nieprawda, nieprawda! Staremu w głowie się przewróciło!

Dajon (*surowo*).

Manes, poskrom swój zły język. Jochaja jest pobożny żyd, uczony żyd, i daj Boże każdemu z nas taką głowę do nauki, jaką on ma jeszcze dzisiaj. I jeżeli ja tutaj przyszedłem do ciebie, to nie dla twego miodu i twego piernika, ale po to, aby ciebie pozyskać, aby twoje serce powoli odmienić, bo inaczej—boję się—będzie imię boże strasznie zbezczeszczone, a w Izraelu nastanie wielkie zgorzenie. Ja dotąd jeszcze myślę, że może cię potrafię namówić do jakiejś ugody...

Jeden z starszych.

Dobrze mówi nasz dajon, oby żył sto dwadzieścia lat! Mądrze mówi! Pogódźcie się, rabosaj, pogódźcie się!

Drugi z starszych.

Zróbmy ugodę i niech nastanie nareszcie spokój w naszej gminie...

Mendele (*piskliwie*).

Ja także radzę, wypijmy na zgodę!

J o c h a j a.

Bóg mi świadkiem, że nie chcę dopuścić, aby przysięgą wzywano Jego imienia...

Manes (*w pasji*).

Ale moje tysiączki chcielibyście, co? Tyle lat pracowałem, ciężko pracowałem, jak koń u bryki. Bałagułę mnie nazywacie, bom się nie wstydził żadnej pracy. I rzodkwią i kartoflami tylko żywiłem się, i grosz składałem do grosza, i łamałem sobie głowę nad różnymi spekulacjami, aż doszedłem do tego, że mam majątek. Mam pieniądze i kocham moje pieniądze, bo kto pieniędzy nie kocha? Kocham pieniądze, bo co bym ja był bez pieniędzy, ha? Czy ktoś z was, rabosaj, podałby mi rękę, ktoś przyszedłby do mojej kuczki, czy zrobilibyście mnie kahalnikiem, gdyby nie moje pieniądze?

Jeden z gości

(*na str. do sąsiada*).

Jeszcze co! takiego bałagułę! (*Podczas ostatnich słów wychodzi Józef z mieszkania Eisenów. Różia odprowadza go na stopnie, tu z uśmiechem podaje mu rękę, on ją podnosi do ust. Cały rozpromieniony robi kilka kroków ku szalawowi, gdy słyszy podniesiony głos Manesa*).

SCENA ÓSMA.

(Ci, Józef i Rózia).

J ó z e f

*(podchodzi do szalasu. Rózia mu towarzyszy.**Co to jest? Co tam za scena? Wszak to głos ojca! (Stają przy szalasiu, nie zauważeni przez nikogo nastuchują; na twarzy Józefa i w postawie maluje się następnie coraz boleśniejша walka psychiczna).*

M a n e s.

I ja mam wydać komuś te pieniądze i znowu może stać się kapcanem i znowu wleść do tego błota, z którego tylko pieniądze mnie podniosły? Może mam jeszcze pójść do prokuratora i oskarżyć siebie samego? Aa, niedoczekanie moim wrogom! Palec sobie prędzej dam uciąć, niż jedną setkę wziąć! Serce mi wyrwiecie, ale nie tysiączkę! I zaco? dla jakiego interesu — pytam! Jak stary wyjeżdżał do ziemi izraelskiej, dał mi w przechowanie osiem setek. Z tego posyłałem mu co miesiąc do Jerozolimy trochę i familji jego tutaj dawałem na życie. Ale jak te setki się wyczerpały, miałem może ze swoich dokładać, co?

G ł o s y.

Manes ma recht... Dobrze mówi!

M a n e s.

Ja ubogim jałmużnę chętnie daje, a i Jochai chciałem...

Jochaja (*zaczerwieniony z gniewu*).

Tylko o jałmużnie nie mi nie mów, bezbożniku! Ja wymagam tylko, co mnie się sprawiedliwie należy. Osiem tysięcy, nie setek, ci zostawiłem, ty... ty...

G ł o s y.

Jochaja jest koszerny człowiek... Jochaja nigdy nie kłamie... Jemu trzeba wierzyć...

M a n e s

(*uderza pięścią o stół*).

Cicho kapcany, cicho hołysze! Co wy się miészacie do tego, co do was nie należy? Tysiące, tysiące, łatwo mu się gada, a gdzie dowód, ha? Przecie bez kwitka nie daje się tysiąców rodzonemu ojcu... Gdzie dowód?

G ł o s y.

Aha, gdzie dowód? Manes dobrze pyta! Gdzie kwitek?

Józef (*chwycił się za głowę*).

Boże, co za tortura!

J o c h a j a.

Kwit był, był rewers, ale familja tu go zgubiła!

Manes (*śmieje się grubo*).

Zgubiła! zgubiła! Myślalby kto, że to szpilka albo szmatka, którą się wyrzuca na śmietnik. Zgubiła! To wyście pamięć zgubili, Jochajo, albo zięć wasz, co umarł, sumienie zgubił! On zawsze bawił się w uczonego, czytał niemieckie książki i podług ich głupiego gadania

chciał spekulować... Spekulował, spekulował, aż wszystko stracił i przed śmiercią zapewne na mnie nagadał! A ja miałbym na to konto tyle majątku stracić? Ha, ha, ha! Musiałbym zwarzować!..

G ł o s y.

To prawda, co Manes mówi. Zięć Jochai czytał niemieckie książki... Zięć Jochai prowadził interesy bardzo nieszczerliwie...

Inne glosy.

To być nie może... Nieprawda! Zięć Jochai był uczciwy człowiek. A Jochai trzeba wierzyć... Jochaja jest sprawiedliwy człowiek.

J ó z e f

(ściska Rózię kurczowo za rękę).

Ten rewers... ten rewers... Boże mój, czy ja śnię!

J o c h a j a

(wstaje, trzęsący się, uroczyście a z siłą).

Widzę, Manes, że z tobą po ludzku rady sobie nie dam. Duch złego zanadto się w tobie rozpanoszył. Więc słuchajcie, rabosaj, teraz zaczynam po bożemu! Manes, wobec naszego dajona, wobec naszych starszych i całego kahału, wzywam cię, abyś na to, co mówisz, po świętach w synagodze złożył wielką przysięgę!

(Powszechnie osłupienie. Zamieszanie. Stojąca w kącie Małka występuje, drżąc, ze złożonymi rękoma, wpatruje się w męża. Józef tak samo).

G ł o s y

Przysięgę? wielką przysięgę? w synagodze? w koszuli śmiertelnej? przy czarnych świecach? Ależ to straszne... to okropne!

M a n e s.

A ja.. a ja...

Dajon (*stojąco, uroczyście*).

Manasse, synu Samuela! Pomnij Boga Abrama, Izaka i Jakóba! Pomnij wszystkich sprawiedliwych i dusz świętych! Zastanów się, zanim słówko teraz wypowiesz...

M a n e s.

A ja... majątku nie wydam! Ja przysięgę... złożę! (*Powszechna konsternacja. Wszyscy z miejsc powstali, wzburzeni, blade. Słyszą szepty, pełne grozy. Malka opiera się o ścianę, jakby jej sił zbrakło. Potwarzy jej łzy spływają. Dajon pierwszy, za nim inni, zaczynają wychodzić, Józef i Rózia cofają się w głąb*).

M e n d e l e

który dotąd drzemal, budzi się, przeciera oczy, rzuca się naprzód).

Rabosaj, gdzie idziecie? Tyle miodu jeszcze zostało! (*Próbuje ich zatrzymać. Wszyscy jednak wychodzą, rozsypują się na podwórzu. Manes osamotniony, ociera pot i dyszy ciężko. Wchodzi do niego Józef, za nim Rózia*).

J ó z e f.

Ojczy, ty przysięgi nie złożysz. Nie!
Ja ci to mówię!

R ó z i a.

Słyszysz pan? (*Patrzy na Manesa z urąganiem i wybucha ostrym śmiechem*).
Ha-hahaha!

D a j o n

(z podwórza zwraca się do szalasu, z wzniesioną ręką).

Straszne będą sądy boże... (*zasłona spada*).

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

(Przedsionek synagogi. Na białych ścianach w ramach karty z różnemi napisami hebrajskiemi. Pod ścianą ławki, w kacie szafa. Po prawej i lewej okna, wprost bardzo szerokie podwoje prowadzą do wnętrza synagogi.)

W głębi, zwrócony ku podwojom, Jochaja pogrążony w modłach; długi „tates” okrywa prawie całą jego postać. Kilku innych w tatesach i „tfilin” nad czołem i na lewej ręce, modli się, chodząc po przedsionku, wymieniają też szepty. Kilku chłopaków ciśnie się do drzwi synagogi. Mendele odpędza).

SCENA PIERWSZA.

(Jochaja, Mendel, osoby z tłumu.)

M e n d e l e

(ubrany nędznie, napędza chłopaków).

Precz, szajgecy, precz! Teraz jeszcze nie wolno! Widzisz przecie, że obywatele odprawiają modlitwy w sieni, a nie w samej bóżnicy... A pójdziesz sobie, ty szajgec, ty paskidnik, czarny rok na ciebie! *(Wypędza natrętnych, wyjmując z szafy siedmioramienne świeczniki, siada na posadzce i zaczyna je czyścić).* Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy! Żeby ich szlag trafił, takie one paskidne! To już nie jest

żadne życie, takie życie i żadne życie, to razem żadne życie. Oj, Gott'eniu, Gott'eniu, gdzie się podziały stare, dobre czasy! Szames byłto sobie żydek-fajn, u Boga i u ludzi dobrze zapisany, był kawałek osoby, co ja gadam! duży kawał osoby! jakby półobywatela... Kto się mógł bez szamesa obejść, co bez niego mogło być, ha? Narodził się gdzie chłopak — szames przynosił taką fajną, delikatną mączkę na jego delikatną bolączkę... Żenił się kto—szames nosił karteczki do gości, przynosił szklanę, aby pan młody miał co tłuc na weselu... Umarł kto—to dopiero był bal! I drażki trza było przynosić, żeby ciało na nich wynieść, i śpiewać „el mole rachmim”, i chodzić siedem dni na modlitwy... Bez szamesa nikt żyć ni umierać nie śmiał. Jakto—bez szamesa? To była figura, to był dobry kawał osoby, a jak się to wszystko kończyło? Do kieszeni kilka szóstek, a do gęby wódka i piernik. A teraz? (*Wyjmuję z tylnej kieszeni bekieszy małą flaszczykę wódki i pociąga*). Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy...

Ot, dziś przysięga. Co ma szames z tego, ha? Co ma on z wszystkich dzisiejszych interesów? Narodzi się kto—posyłają po mączkę do apteki; czarny rok na tych bezbożników! Żeni się kto—posyłają karteczki już pocztą, djabeł na ich ojców! Umiera kto—to już nie trza drażków, tylko skrzynię, poprostu trumnę (*spluwa*); żeby ich skreśliło, tych niem-

ców! To wszystko wymyślili tylko po to, aby szamesowi dokuczyć, co ja gadam! aby mu życie zabrać... Piękny porządek — żeby anioł śmierci wziął sobie taki porządek. Co to za świat, który chce żyć bez szamesa—ha? Jak ma być taki świat, to niech już lepiej nie będzie żaden świat! Oj (*znowu haust wódki*), ciężkie czasy, paskidne czasy.

I ma być przysięga. Taka przysięga—gwałt, to jest przecie najstraszniejsza rzecz na świecie! I po co—pytam, na co? za co? Ja im tyle razy gadałem: rabosaj, zróbcie lepiej ugode, potem niech będzie uczta, piękna uczta, gdzie dadzą i pierogi z kaszą i groch! A te ludzie—Boże, zmiłuj się! Manes to poprostu wziął mnie tu (*chwyta się za kołmerz*) i zrobił mi (*krzywi się*) coś paskidnego... coś tak paskidnego, aż fe! Nu, on zawsze był (*ogląda się trwożliwie*) trochę grubianin, i nie umiał się obchodzić z delikatnym człowiekiem. Ale nawet reb Jochaja, co jest taki jak miód, on nawet nie daje do siebie rozumnego słowa mówić... Co to będzie, co to będzie!.. I to wszystko tylko poto, aby mnie dokuczyć i życie zrobić gorzkim. Naharowałem się, jak koń, jak sto koniów—i co? Po takim interesie nikomu nawet do głowy nie przyjdzie postawić wódkę i piernik. Nawet ręki po grosz nie można wyciągnąć—a ty, żono z dziećmi, giń z głodu! Fe, fe! Tylko brzydkich myśli człowiek się naje... (*Wzdryga się*). Bo to przecie strach.. Przy-

sięga przy czarnych świecach—brr... jak o tem pomyśle, to mi się tak robi, jakby pięć psów mnie napadło! Brr... (*Zagląda do flaszczyki, pusta. Podchodzi do szafy, wyciąga świeżę. Pijąc*). Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy...

(*Niektórzy z obecnych pokończyli tymczasem modły, składają tfilin i taletes do woreczków. Szepty, krętanina. Mendel, ciągle mrucząc wyciąga z szafy róg (trąbę) z uroczystości noworocznych i próbuje dać. Głos wydaje fałszywy*). Gewalt, co to jest? już nie umiem? ja przecie byłem do tego największy majster... (*Wchodzi do świątyni*).

J o c h a j a

(*na głos rogu wzdryga się, z głębokiej kontemplacji wyrwany*).

Aa! Panie świata, jakiż ten głos jest straszny... Po wszystkich członkach mi przeszedł, jak wołanie archanioła... (*Z bólem*). Dzień sądu, dzień sądu.. Boże moich ojców, dlaczego musiałem aż tego doczekać!.. (*Po chwili*). Trzeba się usunąć. Musi być późno, a jam jeszcze modlitw nie ukończył i trzynastu artykułów wyznania wiary nie odmówiłem... (*Bierze modlitewnik do ręki i półgłosem zaczyna recytować tonem głębokiego przekonania*).

„Wierzę wiarą niezachwianą, że Stwórca, niech będzie błogosławione imię Jego, jest Stwórcą i rządcą wszystkich stworzeń i że on sam dokonał, doko-

„nywa i dokonywać będzie wszystkich dzieł.

„Wierzę wiarą niezachwianą, że Stwórca, niech będzie błogosławione imię Jego, zna wszystkie czyny synów ludzkich i wszystkie ich myśli, bo *(coraz powolniej, z wzrastającym wzruszeniem)*, jako psalmista mówi: który stworzył serca ich wraz, uważa na wszystkie ich czyny.

„Wierzę wiarą niezachwianą, że Stwórca, niech będzie błogosławione imię Jego, świadczy dobrze tym, co przestrzegają przykazań jego *(drżącym głosem)* a karze tych, co przykazania jego łamią”.

(Odkłada książkę. Ze łzami): Wierzę, wierzę, Panie zastępów, Panie nasz i Królu świata! Wierzę, że jesteś sędzią, surowym a sprawiedliwym sędzią—patrzajże w serce moje, patrz na boleść moją, patrz na żalność moją. Patrz: niewinny jestem! niewinny! Nie chciałem dopuścić do obrazy Twego imienia, nie chciałem! Ojczy nasz, królu nasz, Ty wiesz, że byłbym swoją krzywdę darował, ale czyż sam nie kazałeś stać na straży dobra wdów i sierot? *(Splata ręce nad głowę, przyciska twarz do muru, ze stłumionym serdecznym krzykiem)*. Ojczy nasz, królu nasz, spojrzuj na naszą nędzę i strapienie nasze! zeszliz bojaźń w duszę grzesznika, zeszliz opamiętanie, zeszliz skruczę! Ratuj! ratuj nas przed zbłąkanym opętańcem, ratuj Izraela przed hańbą,

ratuj Imię Najwyższe przed zbeźczeszeniem.. (Z egzaltacją). Adonaj, Adonaj, Panie zastępów, patrz na naszą nieskazitelność, a jeżeli nie ma w nas czynów dobrych, uczyni to dla imienia Twego i z miłosierdzia swego!... (Pozostaje w tej pozycji chwil kilka, poczem zaczyna się przechadzać po przedsionku. Powoli się uspakaja, bierze książkę napowrót do ręki i kończy modlitwę.)

„Pomocy Twojej wyglądam o Panie! Wyglądam, o Panie, pomocy Twojej! O Panie, pomocy Twojej wyglądam!”
(Odchodzi ku oknu i odkłada tańs i tfilin, całując je.)

(Przedsionek powoli zapętnia się ludźmi różnego wieku. Każdy wchodząc, całuje „mezuzę”. Niektórzy próbują zaglądać do wnętrza, Mendele odpędza. Tworzą się grupki, wszędzie szepty i dyskusje).

SCENA DRUGA.

Ci, i świeże grupy tłumu.

Jeden z tłumu (półgłosem).

Patrzcie na Jochaję, jaki on spokojny! Czy to być może, aby taki człowiek, taki sprawiedliwy człowiek, narażał imię Boga i na sumienie swoje wziął tak ciężki grzech?

Drugi z tłumu.

Ja w to nie wierzę! Mnie możecie gadać, że słońce kłamie, ale nie że reb Jo-

chaja kłamie. On żyje już tyle lat, czy słyszał kto o nim kiedyś krzywe słówko, ha? A Manes...

Trzeci z tłumu.

Manes jest procentnik! Manes jest zły człowiek! Od mojej babki zabrał za jakąś bagatelę lichtarze sobotnie i ostatnią poduszkę, i przepadło!

Czwarty z tłumu.

To wszystko prawda, rabosaj, prawda. Teraz Manesa przestajemy się bać i wychodzą wszystkie jego sprawy. Ale w tym procesie—on przysięga, przysięga przy czarnych świecach! Skutkiem naszych grzechów namnożyło się w Izraelu dużo kłakolu i chwastów, ale żeby ktoś się odważył przed Torą fałszywą przysięgę złożyć... aż pomyśleć straszno!

Drugi z tłumu.

A przecie... Jochaja jest dusza, czysta jak woda źródłana... On woła do przysięgi— to wie już, co robi... Wiecie, że taka przysięga, jaka się dziś odbędzie, jest tak straszna, że nikt z naszych ojców nie pamięta, aby kiedyś w naszym mieście...

Pierwszy z tłumu.

A ja słyszałem, że lat temu pięćdziesiąt... *(Cicha rozmowa. Osób gomadzi się coraz więcej. Wchodzi dajon).*

SCENA TRZECIA.

(Ci i dajon).

D a j o n*(spotyka się z wychodzącym Jochaja, kiwa mu uprzejmie głową):*

Pokój wam, Jochajo! Nie zostajecie tutaj?

J o c h a j a.

Więc przysięga się odbędzie! a ja jeszcze do tej chwili ludziłem się, że potraficie go namówić...

D a j o n.

Próbowaliśmy, robiliśmy, co tylko można było. Rabin nasz, oby żył 120 lat, mówił do niego, jak święty, jak prorok, jak ojciec do niego mówił, aby zrobił ugodę, a on: nie! Przedstawiliśmy mu, że Bóg nawet nad Kainem miał litość, gdy odkrył w nim żal i pokutę, a on ciągle: nie! Zdaje się, że w tym człowieku rozsiadł się najstraszniejszy wąż złego: fałszywa ambicja...

J o c h a j a.Więc Imię Boga będzie wzywane nadaremnie! będzie takim djabelskim kłamstwem, jak najobrzydliwszem błotem obrzucone! I to za moim powodem... Panie świata... *(Chwieje się).***D a j o n***(i kilku z obecnych podtrzymuje go):*Jochaja, co wam jest? co to znaczy?
(Sadowią go na ławie).

Jochaja.

Nic to, rabosaj, nic.. Wybaczcie! Serce mi się trochę skurczyło, ale teraz już dobrze... dobrze... Moje stare serce nie może rozumieć dzisiejszego świata... (*Z uśmiechem*). Moje niemądre, staroświeckie serce! Jak zobaczyło taki brzydki obraz fałszu i zepsucia, wyrzekło do mnie: Jochajo, Jochajo! chodźmy stąd do naszego ojca w niebie... Tu dla nas miejsca nie ma... (*Prostuje się. Z siłą*). Ale nic to... nic... Jeżeli sam chce—niech przysięga! Jeżeli w Izraelu rządzą teraz tacy ludzie niegodziwi, serce moje pójdzie do grobu, moją ziemię palestyńską zabiorę z sobą do grobu, a nie pomogę, aby fałsz i grzech i Belial panował bezkarnie! Bądźcie zdrowi, rabosaj.

Dajon.

I nie zostaniecie tutaj?

Jochaja (*od progu*).

Nie... Mnie serce ciągle trochę boli... I muszę przed obiadem odczytać kilka kart Tory... Od 50 lat czynię to codziennie i dzisiaj oddam Bogu, co boskie...

Dajon i inni.

Idźcie zdrowo, reb Jochajo! (*Tenże całuje „mezuzę” i wychodzi. Dajon wchodzi do synagogi*).

SCENA CZWARTA.

(Pozostali, bez Jochaji. Potem Eisenowa i Rózia)

Pierwszy z tłumu.

I co wy na to, ha?

Drugi z tłumu.

I mnie serce boli, i ja się boję, że będzie *chillul haszem*, straszna profanacja...

Trzeci z tłumu.

A słyszeliście, co Jochaja mówił, że jak umrze, zabierze z sobą do grobu wszystką ziemię świętą?

Drugi z tłumu.

I to znowu przez tego Manesa! Gwałt, co za szkoła tej ziemi, co za straszna szkoła... (*Cicha rozmowa. Ludzi coraz więcej, także kobiety. Rózia wchodzi z matką.*)

E i s e n o w a

(*ogląda się trwożliwie, półgłosem.*)

I powiedz sama, pocoś mnie tu zawlokła?

R ó z i a.

Aby się popatrzeć, mamó. Widowisko musi przecie być ciekawe. To będzie coś chyba wprost średniowiecznego... Coś podobnego napotyka się tylko w starych powieściach i w teatrze..

E i s e n o w a.

Ty znowu zaczynasz po swojemu! Wiesz, że nie lubię, jak się naśmiewasz z reli-

gji. Ja tam nie jestem pobożną, chodzę do synagogi tylko, gdy mogę odmówić modlitwę za twego ojca, ale religja zawsze zostaje czemś, co trzeba zanować, a nie traktować, jak widowisko.

R ó z i a.

Dobrze, mamó, dobrze... Jak to mamie sprawia przykrość... (*Rozgląda się ciekawie*). Religja, religja! patrzaj mama na tych ludzi! Toż to dzicz... Gdzież może w ich piersiach mieścić się szlachetniejsze uczucie... (*Spacerują. Szeptem*): Zresztą, wie mama, mnie chodzi jeszcze o co innego... Mama wie, jak ja stoję z Józefem...

Eisenowa.

Widzę, niestety, widzę... Igrasz z nim, jak kot z myszą. Raz myślę, że między wami wszystko dobrze i ja już mam zięcia, to znowu widzę, że biedny chłopak wygląda, jakbyś go na torturach trzymała... Oj, Róziu, Róziu, bardzo ja się boję, że się czegoś doigrasz... Nieraz cię ostrzegałam!

R ó z i a.

No, co do tego nie ma obawy... Oswoiliam się już z myślą, że wyjść za Józefa muszę, i nie puszcze go, tego może mama być pewną. Tylko... jakżeż się odrazu wiązać? Dotąd jeszcze niewiadomo, jaki będzie koniec procesu Manesa z tym starym żydem! Nuż Manesowi coś

strzeli do głowy i odmówi przysięgi, musi zaraz wydać znaczną część majątku i Józef przestaje być bogatym...

E i s e n o w a.

Ależ dziecko... Jeżeli on ciebie kocha, a ty jego...

R ó z i a.

Moja mamó, mama mówi, jak dziecko. Mówimy o małżeństwie, nie o miłości. Mnie ani się śni wyjść za mąż za biedaka. Józef musi mieć pieniądze, aby nie czekać na tę obrzydliwą praktykę, a przede wszystkim, aby wyprowadzić się stąd do Lwowa lub do Wiednia. Już mam dosyć nędzy i małego miasteczka. Jak nie mam poprawić sobie losu, to pocóż wyjść za mąż? A tu cała sprawa majątku Manesa ciągle wisi w powietrzu. *(do ucha)* Dalej... mama o tem nie wie, ale między Józefem a ojcem toczy się straszna wojna. Józef do przysięgi nie chce dopuścić... Kto wie, co z tego jeszcze będzie. W każdym razie... wolę ja nad tem wszystkim czuwać zbliska...

Eisenowa.

Ależ, Róziu... *(Dalsze jej słowa giną. Mendele otwiera podwoje synagogi. Wszyscy się cisną, zasłaniając sobą zupełnie obraz wnętrza. Różia z matką porwane falą, także wchodzi. Przez podwoje zamknięte dochodzi szum i gwar. Wchodzi Manes. Posepny, ciężkim krokiem).*

SCENA PIĄTA.

(W przedśionku Manes, potem osoby z tłumu).

M a n e s.

Żeby to tylko prędko się skończyło!
(Otwiera szeroko podwoje. Odstania się obraz wnętrza. Synagoga duża. W głębi, naprzeciw widzów, główny ołtarz, do którego się wstępuje po kilkunastu stopniach, wjętych w barjere; u samego szczytu tego ołtarza—tablica z dziesięciorgiem przykazań, niżej „święta szafka“ z rodalami, zasłonięta dzisiaj dużą, czarną oponą, na której wyszyty biały znak „tarczy Dawida“. Wszystko to ozdobione piętrzącymi się kolumnami, płaskorzeźbami kwiatów, fantastycznych lwów i orłów. Z boku, nisko po prawej ręce, mały ołtarzyk. W samym środku synagogi podwyższenie, na którym stoi stół, kapą przykryty; nad nim płonie zwieszający się z sufitu staroświecki świecznik. Zresztą wszędzie ławki i pulpy.

(Okna zasłonięte czarnem suknem. We wszystkich lichtarzach i kilku siedmioramiennych świecznikach pozapalane świece. Przed głównym ołtarzem, po obu stronach, każdego stopnia, jarzą się posepnie świece z czarnego wosku. Oświetlenie fantastyczne. Ludzie pogrążeni w uroczystem milczeniu).

M a n e s

(uderzony tym widokiem cofa się ze zgrozą do przedśionka, podwoje synagogi zamykając).

Jak tu straszno! Jak tu okropnie straszno... Cicho... czarno... a przecie ognie się

świecą... Jakbym do grobu wchodził a zdaleka widział już piekielne płomienie. I śmiertelną koszulę teraz wdziać muszę... zupełnie jak do grobu... A w tym grobie... w tym grobie—anioł sądu! (*Cofa się aż ku drzewom*). Nie, ja tego nie wytrzymam... ja umrę... ja zwaruję!
(Wchodzi kilka nowych postaci, patrzą na Manesa posepnie i nie witając się z nim, znikają w synagodze).

Jak oni na mnie patrzą! jakbym już... jakby już było po wszystkim... (*Po chwili szybko*). I tak będą patrzeć na mnie przez całe życie — jeśli odstąpię teraz... Tak... jeżeli odstąpię — dopiero zaczną wygadywać i przeklinać i palcami wytykać: patrzcie, to jest taki,—co chciał... taki i owaki... To wrogi dopiero będą miały radość, jak gdyby te pieniądze oni wygrali, jakby wygrali miliony. Oni już teraz chcą nogą deptać mój kark, oni już teraz buntują całe miasto, oni już teraz psują mi interesa. Jak tak dalej pójdzie, oni będą panami, a ja znowu sobie kupię wózek i konia... i dopiero każdy zacznie na mnie pluć! I po to ja tyle lat pracowałem i z całym światem prowadziłem wojnę i wzniosłem taki piękny budynek, takie ładne stanowisko, aby teraz własnymi rękami to wszystko zburzyć... i sam się w gruzach pogrzebać? Nie, nie, to dopiero byłaby niesprawiedliwość, toby prawdziwy był grzech! Ja także mam familję, ja także jestem człowiekiem...

M e n d e l e

(wystawia głowę z synagogi.)

To wy tutaj, reb Manes? Dajon już czeka... *(znika).*

M a n e s

(otwiera znowu na oścież podwoje. Tam wysoko przy głównym oltarzu stoi dajon w tałesie nad głową suto złoconym, i mierzy Manesa surowem wejrzeniem. Ten ponownie ogarnięty przerażeniem cofa się i podwoje zamyka).

To przecie zanadto straszne! Jego wzrok mnie aż do serca dochodzi... Zimno mi, źle mi... On patrzy, jak sam prokurator... stamtąd... z nieba... I jaką tam wymierzą karę... jaką karę... Na wieki w ogniu! *(Biega w najwyższym wzburzeniu).* I nic mnie nie uratuje? nic? Nic przed sobą nie mam, tylko hańbę i biedę i złość ludzką na tym świecie, albo takie okropne męki na tamtym? Nic więcej? Ależ... moja głowa... ja zwarzuję dzisiaj!

Jeden z starszych

(wychodzi z synagogi).

Manes, dajon i cały kahał czeka.. Daj odpowiedź: albo—albo... Może chcesz się cofnąć—co? Może ugoda—co? Masz jeszcze czas: wybierz... Pamiętaj: Bóg jest dobry!

Manes *(patrzy nań nienawistnie).*

Nie, nie chcę, nie chcę! Zaraz przyjdę! *(Tamten znika).* Także mi przyjaciel,

także dobry brat... On pierwszy się cieszy, że padnę, i aż dusza jego skacze, że mnie będzie mógł przydeptać... I wszyscy tacy! Wszyscy ze mnie pasy byście darli, na proch byście mnie starli, czekacie tylko, aż się położę. Ale nie, nie! Ja stoję silnie, nie zwalę się! Ja wam jeszcze pokażę, kto ja jestem! (*Zbliża się do drzwi*). „Bóg jest dobry”—powiedział. Naturalnie Bóg jest dobry, lepszy, niż wy wszyscy, Bóg daruje, Bóg da się przebłagać, a człowiek nie! (*Szybko*) Ja pokutę będę czynił... ja grzech zmażę... Pieniądze wydać Jochai? On stary... już niedługo pożyje... Zabiorą to głupie kobiety i one z tego nic nie będą miały, ja nic, nikt. U mnie co innego! Ja te kobiety będę wspierał... będę rozrzucił jałmużny... będę jeździł do cadyków.. modlić się będę w dzień i w nocy... i pościć... umartwiać się... a Bóg przebaczy! On jest lepszy, niż człowiek!

(*Otwiera szeroko podwoje. Wewnątrz rozlega się trzykrotne, głuche uderzenie. Śmiertelna cisza*).

Dajon (*od ołtarza, powoli i dobitnie*)

Tekiju! (*rozlega się głos rogu*). Manasse, syn Samuelowy, niech tutaj stanie! (*Manes w śmiertelnej koszuli i talerzu wchodzi po schodkach do ołtarza. Stanąwszy przed czarną oponą wzdryga się, lecz silną dłońią ujmuje brzeżek i podnosi do ust, poczem zwraca się twarzą do ludu, stojąc na drugim boku wzniesienia*). Tekiju gedolu! (*Prze-*

ciągły głos rogu). Szema Izrael, słuchaj Izraelu! (*Mówi powoli, z siłą, coraz więcej zapala się jednak i pod koniec w krzyk przechodzi*). Zadrżała w swoich posadach bryła ziemiska i oceany straszliwe wystąpiły z swoich granic, gdy Bóg, Pan nasz, który Izraela wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli, wśród trąb archaniołów i huku gromów i dymu podziemi wyrzekł na górze Synaj: nie będziesz wzywał Imienia Mojego fałszywie. I wstrząsnęło się w duszy swojej wszystko, co żyje, jak drży plemię człowiecze, gdy je Pan pod miecz policzy, i stanął anioł Matriatron, który jest naszym strażnikiem w niebie, i archanioł Michał, który jest hetmanem hufców niebiańskich i Cheruby, którzy miotają zarzewie niebieskie, i wszystkie anioły huraganów i gromów i błyskawic i wszystkie duchy czarnych czeluści i krwawych piekieł, i wzięli w swoje dłonie miecze płomienne, aby wiecznie stać na straży imienia Przedwiecznego—pochwalone Jego Imię. Bo Imię to—to fundament i tarcza i korona wszechświata! bo Imię to—to fundament i tarcza i korona Izraela. I byłby Izrael dawno poszedł wrogowi na strawienie i dawno rozpadł się w robactwo obmierzłe i dawno został wytracony przez kaźnię niewoli i miecz i ogień i głód i mór—gdyby sercami, jako wieńcem gorejącym nie oplatał Imienia Najwyższego i Pisma stojącego na jego straży tu na ziemi, jako archanioły stoją tam w nie-

biesiech. (*Fredkim ruchem odsuwa czarną oponę, wyjmując z szafki rodaly, całuje je, podnosi ku ludowi, potem z egzaltacją przyciska do piersi*). Bo to Pismo święte—to znak przymierza naszego z Panem i zadatek jego miłości wieczystej. Bo to Pismo święte—to drzewo żywota, drzewo wiedzy, drzewo cudowne, którego owoce trzymają przy życiu tysiąc pokoleń Judy. Bo to Pismo święte—to skarb jedy-ny, któryśmy ocalili z potopu wieków, gdy zburzono dom naszych ojców i w proch rzucono szaty nasze i w znak hańby przemieniono nasz klejnot królewski. A treścią tej tory jest tylko: miłuj Boga i bliźniego, bądź im wiernym, nie miej fałszu w sercu, nie miej fałszu w ustach, niech całe twe życie będzie świadectwem, oddanem prawdzie, a nie splugawione żadnym kłamstwem. Słuchaj Izraelu, nieprawda przed Bogiem, fałszywa przysięga, jest najsprośniejszym wsze-teczeństwem, jakie człowiek może z złym duchem popełnić! Słuchaj Izraelu, żaden grzech nie ściąga na człowieka tak straszliwego gniewu Pana, jak fałszywa przysięga. Jestto *jedyny* grzech, który Pan zastępów ściga i karze i mści na synach i synach tych synów — do dziesiątego pokolenia: *jedyny* grzech, którego żadna pokuta zmazać nie może...

M a n e s

Aa! (*chwycie się, opiera o poręcz, lecz rychło znowu podnosi głowę*).

D a j o n

(*wielkim głosem, coraz szybciej, z fanatyzmem*).

I powiedział Pan, niech ręka uschnie temu, który ją podniesie do fałszywej przysięgi, niech usta się rozpadną temu, który wymówi ową sprośność. Błogosławiony będziesz w mieście, błogosławiony będziesz i na polu, jeżeli będziesz się kierował prawdą. Błogosławiony będziesz wchodząc i wychodząc. Lecz jeśli splamisz usta fałszem ohydny, tedy przyjdą na cię wszystkie przekleństwa i ogarną cię. Przeklęty będziesz w mieście, przeklęty i na polu. Przeklęty będziesz wchodząc i wychodząc. I pośle Pan na cię kłatwy, trwożę, zgubę we wszystkim, do czego wyciągniesz rękę swoją— aż cię zgładzi i aż zginiesz nagle dla złości spraw twoich... Poda cię Pan na upadek przed nieprzyjaciół twymi, drogą jedną wynijdziesz przeciwko nim, a siedmią dróg będziesz uciekał przed twarzą ich. Burze ryczące będą cię gnać weiaż z miejsca na miejsce i spokoju stopa twoja nigdy nie zazna. I plagi najstraszniejsze będą toczyć ciebie i współwinnych twoich, aż w proch się rozpadniesz. I nad tym prochem nie ucichnie głos sądu, głos kary, głos pomsty. Przekleństwo krzywoprzysięscy na tym i na drugim świecie! przekleństwo! przekleństwo!

(*Ostania twarz talesem i daje ręką skinienie. Głos rogu rozlega się trzykrotnie.*

Zwraca się do Manesa, który stoi z zaciśniętymi ustami, silnie panując nad sobą. Spokojniej. dobitnie).

Manasse, synu Samuelowy, słyszałeś owo znaczenie przysięgi i wiesz, co masz czynić. Z woli twojej własnej i z uchwały sądu naszych rabinów pytam się ciebie, żali przysięgasz Bogu na to, żeś od Jochaji syna Arona nigdy nie otrzymał na przechowanie ośmiu tysięcy w pieniądzach i czyś mu nigdy nie wystawił na to poświadczenia? Przysięgasz?

(Gdy wymawia ostatnie słowa, wpada nagle Józef. Dyszy z pośpiechu, wzburzony, blady. Powszechne poruszenie.)

SCENA SZÓSTA.

(Ci i Józef).

J ó z e f *(od progu).*

Czekajcie, czekajcie! Na miłość boską, wstrzymajcie się!

G ł o s y.

Co się stało? To doktor! syn Manesa! Jak on strasznie wygląda!

M a n e s.

Mój... anioł śmierci! *(Zrywa się z przed ołtarza i przeciska się przez tłum do Józefa, stojącego w przedsionku):* To ty czekaj! Czekaj—mówię! *(Przy ołtarzu w głębi zostaje tylko dajon; w przedsionku obok Józefa mnóstwo osób, między niemi Rózia).*

R ó z i a

Panie Józefie!

J ó z e f.

Ojcze... ojcze.. *(chwyta go za dłoń).*

Manes *(do tłumu).*

Precz stąd! Precz—mówię! Nie potrzebujemy świadków. *(Wszyscy cofają się do synagogi, w przedśionku grupuje się Manes po prawej, Rózia po lewej, Józef, ściśnięci, w najwyższym wzburzeniu, toczą rozmowę szybko, gwałtownie, urywanemi głosy).*

Józef *(walcząc o oddech).*

Ojcze... znalazłem rewers!—

M a n e s.

Nieprawda! nie!

J ó z e f.

(wyciąga poźółkły papier).

Oto jest. Był w książce, którą mi kiedyś pożyczył był zięć Jochaji. *(Po chwili).* Co za szczęście, żem w czas przy był!

M a n e s.

Daj mi ten papier!

J ó z e f.

Poco?

M a n e s.

Na gadanie nie mam czasu... Daj mi ten papier! *(Józef wzbrania się).* Nie chcesz? Idę bez niego...

J ó z e f *(w przerażeniu).*

Dokąd—ojcze?

M a n e s

(wskazuje na dajona).

Tam... Tam moja śmierć i moje pie-

kło... ale iść muszę. Zapóźno! Teraz odstąpić? Toż ja jestem już... jak po wszystkim... W oczach całej gminy... jakbym już przysiągł! Teraz odstąpić? Byłbym pogrzebany na całe życie. I z głodu byśmy marli. Nie, niech się dzieje, co chce—idę. Ale ty mi daj ten papier!

J ó z e f.

Ojczy... ojczy... w głowie mi się mąci! Ja na to nie mogę pozwolić! Nie puszczać cię... (*Chwyta go za ramię*) nie pójdziesz...

M a n e s

Puść... ty szalony jesteś! (*Wyrywa się*). Jaki wierny syn, ha, ha, ha! Jak on dba o mnie! może pójdziesz stąd do rabina—ha? Może wprost do prokuratora? (*Dziko*). Daj mi ten papier! (*Z rozpaczą*). Nie? nie — mówisz? (*do Rózi*) pomóż że ty, pomóż ty pani. Przecie masz więcej od niego rozumu.

R ó z i a

(*dotąd milcząca, dobitnie, z spokojną energią*):

Panie Józefie, daj ojcu ten papier...

J ó z e f (*z trudnością*)

Pani... panno Róziu! ja śnię chyba...

R ó z i a.

To prawda... Pan życiem realnem za mało żyjesz... Ojciec ma słuszność.. Odstąpić w tej chwili — to wyrzek potępienia!

J ó z e f.

Ależ...

R ó z i a.

Żadne ale. Bądź pan mężczyzną! Życie to wojna... na wojnie rozmaitemi środkami trzeba się nieraz posługiwać. Zresztą o co chodzi? Straty tamtych ludzi dadzą się naprawić, nasze — nigdy...

J ó z e f.

Nasze?

R ó z i a.

Nasze! Widzę, że z pana człowiek słabszy, niż myślałam.. Muszę pana podtrzymać. Bo cię kocham! Kocham cię i chcę być twoją! Ale nie mogę zostać synową człowieka, który się wobec całego świata okryje hańbą...

J ó z e f

(chwytając się za głowę).

Oszaleć można...

R ó z i a.

Szczęśliwym być można... Ja cię kocham!

J ó z e f.

Boże... Boże... pomyśl, czego wymagasz...

R ó z i a

Pomyśl, co dajesz... *(Chwyta go za obie ręce)*... To tak? Tak małym ja w oczach pańskich warta... takiego poświęcenia nie chcesz dla mnie zrobić?

J ó z e f.

Życia odemnie żądaj!

R ó z i a.

Rewersu żądam. Jesteśmy ofiarami stosunków—trzeba się bronić... Życie jest okropne—wyzyskajmy to trochę dobrze, co w niem mieć można... Ale ty mnie odtrącasz!

J ó z e f

(z bezbrzeżnym bolem).

Ja ciebie odtrącam? Ja ciebie? Przeszło dziesięć lat czekałem na tę chwilę! ty byłaś jedyną mą siłą... wiarą...przyszłością...

R ó z i a

(przytula dłoń jego do swojej twarzy.)

Teraz mnie masz... masz mnie... całą... na zawsze... Ja ciebie kocham! Ale od tego warunku odstąpić nie mogę — nie mogę... Wybierz... Ja, albo rewers...

Józef (stania się).

Twój oddech pali.. w twych oczach magnesy... Serce mi się kruszy... Ciebie stracić? (ściska jej dłoń kurczowo). Raczej sto dusz zatracić... (W synagodze rozlega się trzykrotne uderzenie. Wszyscy wzdrzają się).

Dajon (z głębi).

Manasse, synu Samuelowy!

Manes (chrapliwie).

Dosyć... dosyć! Gdzie ten papier?

R ó z i a.

Teraz, albo nigdy... Albo nigdy — powiadam! Jeszcze się wahasz? (Józef z wyrazem okropnej walki trzyma w ręku bez-

władnie rewera. Ona go wydziera). Nareszcie. Mam go i ciebie mam! Teraz jesteś mój. (*Daje Manesowi rewera*). Oto jest. Ja go panu daję...

M a n e s

(*targa go i strzępki chowa*).

Oo, przecie! Myślałem, że zwarzuję!

Dajon (*przy oltarzu*).

Manasse, synu Salomonowy...

M a n e s.

Idę, rebe, idę... (*Opiera się o drzwi*).
Ciemno mi... nogi mi się plączą... (*Z krzykiem*). Moja głowa pęka!

Jeden ze starszych

(*występuje z synagogi*).

Odstępujesz?

M a n e s.

Nie! idę! (*Biega, staje u oltarza, mówi szybko, jakby nieprzytomny*). Przysięgam... przysięgam... Osiem tysięcy od Jochaji nigdy nie dostałem... rewera mu nie dałem (*dotyka się tory*). I słowa moje są prawdziwe, jako ów zakon jest prawdą... Tak mnie Boże skarż!

D a j o n.

I niech ci się stanie wedle słowa twego. Teraz cały Izrael powie: amen! (*Całuje rodąty i wstawia je do szafki*).

T ł u m.

Amen... amen... amen...

(*Wśród ciszy zaczynają się rozchodzić. Józef w przedśionku padł na ławkę, ciężko*

dyszy. Rózia stoi przy nim, blada, wyczerpana. Wychodzący patrzą na nich z niechęcią, nikt im się nie kłania. Powoli synagoga się opróżnia. Mendel z wewnątrz zamyka podwoje, zostaje tam z Manesem).

SCENA SIÓDMA.

(W przedsiönku Józef, Rózia, do nich przytącza się Eisenowa).

Eisenowa.

Chodźmy stąd... I pan Józef jeszcze... Co to pan chciał? Rozumiałaś, Róziu, to wszystko?

R ó z i a.

Nie...

Eisenowa.

Ale wrażenie było okropne...

Józef (*wstaje, glucho*).

Było okropne... W jednej chwili taka zmiana z ludźmi... Przed kwadranssem byłem innym człowiekiem, teraz... (*Biega wzburzony*).

R ó z i a.

Józefie!

J ó z e f

(*staje przed niemi*).

Widzieliście? jak ci wszyscy ludzie obok mnie przeszli! Żaden się nie ukłonił... Oni mi w oczach czytali... Ci ludzie mają instynkt! Każdy z tych nędzarzy tysiąc razy więcej wart, niż ja... Każdy z tych prostaków tysiąc razy stoi wyżej... (*Ciszej*). Stało się... odstać się nie

może... (*Z krzykiem*). Czemu nikt mi w twarz nie pluje? czemu nikt mi nie mówi, czem ja właściwie teraz jestem! Jak tu cicho... i pusto... i straszno... Czyż nikogo na świecie więcej niema, tylko ja i podłość moja?

Eisenowa.

Na miłość boską... Panie Józefie!

Różia (*cicho*).

Józefie, ja jestem przy tobie...

J ó z e f

(*patrzy na nią chwile, jak nieprzytomny*).

Tak... ty... ty... żona moja.. ty... kochanka moja... tyś moje wszystko... Ty jedna mi pozostajesz... (*chwytą ją za obie ręce*) bo cię kocham... Kocham cię... do szaleństwa cię kocham... (*puszcza ją, z dziwkim śmiechem*) do podłości cię kocham! Ha, ha, ha! ładne wyznanie... ładny węzeł nas łączy... Ale złączył! i już należy do siebie... i nie nas już nie rozzerwie... nic... nigdy! (*Namiętnie bierze ją w ramiona, okrywa pocałunkami*). Tyś moja... moja... Po tylu latach... po tylu cierpieniach... nareszcie mam te oczy (*całuje*) te usta (*całuje*)... te włosy... Mam i nie puszcę. (*Śmieje się spazmatycznie*). Jak my się będziemy kochać! Co za para gołąbków z nas będzie... Tą całą ohydą, która mnie dusi... tą pogardą, jaką mamy oboje dla siebie... tą nienawiścią, która stąd powstanie... temi wszystkimi pięknymi, szlachetnymi uczuciami kochać

się będziemy... żonko moja! (Z historycznym śmiechem pada na ławkę, Rózia bez tchu staje obok niego).

Eisenowa

(w najwyższym przerażeniu).

Róziu... panie Józefie... ja przeczuwam coś okropnego!

(Z ulicy dochodzi nagle krzyk i lament. Do przedsionka wpada Rachel, Ester z dziećmi, kilka innych kobiet i garść ciekawych. Kobiety w zwichrzonych strojach, z obląkaniem w oczach, załamując dłonie, lecą bez opamiętania wśród krzyków i płaczu).

SCENA ÓSMA.

(Józef, Eisenowa, Rózia. Z synagogi wychodzi Manes, Rachel, Ester, kobiety, żydzi, dzieci).

R a c h e l

(wpada do synagogi. Tam czarne sukno już zdjęte, światła pogaszone, kilka tylko świec się dopala. Przypada ona do ołtarza, usuwa oponę, otwiera szafkę z rodalami z rozdzierającym krzykiem).

Ratuj go, Boże wielki, Boże wszechmogący, ratuj, ratuj!

Ester i inne kobiety.

Ratuj! Zeszlij pomoc! Zeszlij lekarstwo!

R a c h e l.

Panie nasz, Królu nasz, Ojcie nasz... Jochaja ben Aron był zawsze twoim sługą—daj mu żyć jeszcze! Jochaja ben Aron pracował zawsze dla twojej chwa-

ły—daj mu żyć jeszcze! Życie mu daj!
 ratuj!

Ester i inne kobiety:

Ratuj go, Boże, ratuj, ratuj!

R a c h e l

*(bije głową o ołtarz, drze na sobie suknie,
 szarpie twarz, za nią inne).*

Mój mąż kochany... dusza moja jedyna...
 korona moja jasna...

Wszystkie kobiety.

Ratunku! pomocy, Boże!

M a n e s

*(który wybiegł był z synagogi, w zwyczajnym już ubiorze, biega przerażony po przed-
 sionku, nareszcie chwytą jednego z tłumu,
 chrapliwie).*

Mów, co się stało?

Jeden z tłumu.

Nu, co się miało stać? Jak Jochaja się dowiedział, żeście złożyli przysięgę, tak wziął i spadł z krzesła i ledwie żyje...

Józef (zrywa się).

Jochaja? co—udar? apopleksja? Ależ moje miejsce tam przy nim! *(chce biegnąć)*

R ó z i a

(wstrzymuje go).

Józefie!

Józef (z krzykiem).

Aa! Zapomniałem! (pada na ławę).

Kobiety w synagodze.

Zmiłowanie, Boże! Daj mu żyć jeszcze! Życie mu daruj! (Wchodzi dajon i kilku starszych).

SCENA DZIEWIĄTA.

(Ci, dajon i starsi).

D a j o n

(powolnym krokiem podchodzi do Racheli, dotyka się jej ramienia, uroczyście).

Rachel, bądź mężna... Powiedz za mną: bądź pochwalon sędzio sprawiedliwy!

R a c h e l.

Umarł! Jochajo! (pada zemdlona. Ludzie ją wynoszą. Kobiety wybiegają, zawodząc żalnością. Grupa w przedsionku stoi jak skamieniała).

J ó z e f

(powstaje, bezdzwięcznym tonem).

Zabiłem człowieka!

R ó z i a.

Zabiłam człowieka!

M a n e s.

Zabiłem... (zasłona szybko spada).

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

(*Cmentarz żydowski oparkaniony. Przez szeroki otwarty wchód widać pole, zasiane wysokimi, prostokątnymi płytami, na których wyryte napisy hebrajskie. Wśród kamieni i skąpych traw wznosi się gdzieniegdzie wierzba płacząca i gubią się świerki.*

Na pierwszym planie grób Jochaję w postaci pagórka rozkopanego; przy nim kilka kamieni i płyta pamiątkowa, gotowa do ustawienia; Mendele dłutem wykończy i poprawia napisy. Niedaleko wysoki kamień nad grobem Eisenowej.

Atmosfera posepna).

SCENA PIERWSZA.

(*Rózia, Mendele*).

R ó z i a

(w żalobie, na twarzy ślady ciężkich przejść. Wchodzi powoli, zbliżywszy się do grobu matki, przypada doń gwałtownie).

Mamo! mamó! (*Obejmuje kamień, jakby uściskiem, przytula doń twarz*). Mateczko... (*Ciche łkanie. Powoli—spokojnie*): Znowu przyszedłam tu do ciebie... pożalić się... poskarżyć... wypłakać się... jedyna ty moja!... Do kogo ja pójdę, jeśli nie do ciebie... A tak mi ciężko... i źle — mamó! czemu mnie nie zabrałaś z sobą! (*łkanie*). Poszłaś... i mnie zostawiłaś... na taką

męczarnię... bez granic... bez miary... Patrzeć nie mogłaś na te katusze, które były naszym miodowym miesiącem... i poszłaś... a ja... Mamo! ja żyć już nie mogę!

(*Pauza*). Każdy dzień... męka najstraszniejsza... Każda chwila zatruta... Ja się na niego nie skarżę, mateczko... nie, on sam także taki biedny! I kocha mnie przy tem wszystkim... Czemu... po co mnie kocha! Po co i ja jego kochać muszę!.. Gdybyśmy się nie byli pobrali... Gdybyśmy mogli żyć daleko od siebie... byłby może spokój... ulga... zapomnienie... A tak patrzymy na siebie, jak wrogowie... i katami jesteśmy dla siebie... Aż przychodzi szal miłości... potem wstręt... i pogarda... i tortura tak okropna — mamo, mamo!

I nie masz dla nas ratunku?.. żadnego? Boże... mateczko... tak straszne piekło znoś tu na ziemi... (*Z płaczem*): Boże... mamo moja... przebacz! ratuj! za dużo cierpimy! (*Z twarzą, przytuloną do kamienia, pozostaje chwil kilka. Mendel patrzy na nią podejrzliwie i dalej swoje robi*).

SCENA DRUGA.

(*Mendele, Różia, Józef*).

J ó z e f

(*zmizerowany, posepny, z nastawionym kołnierzem, patrzy na żonę chmurnie, potem kładzie dłoń na ramieniu. Różia wzdryga się, odwraca doń twarz, łzami zalaną*).

Nie bój się, Rózieczko... To ja jestem...
twój kochający małżonek!.

Rózia (*lagodnie*).

Czego chcesz, Józefie? czy już nie
wolno mi iść na grób mamy?

J ó z e f

(*z ironią, ton ten zachowuje przez cały czas*).

Ależ i owszem, aniołku, i owszem...
Bardzo nawet lubię, jak wpadasz w uspo-
sobienie czule... I ja na tem korzystam!

R ó z i a.

Józefie, uważaj, gdzie jesteśmy...

J ó z e f.

Ach, przepraszam, ale zdawało mi się
żeśmy już przyzwyczajeni do zejść w
miejscach tak zwanych świętych. Od cza-
su, gdy urządziłaś tę wspaniałą scenę
w synagodze...

R ó z i a

(*zwraca się do grobu*).

Mamo!

J ó z e f

(*bierze ją za rękę, szorstko*).

Dosyć tego. Wpędziłaś matkę do gro-
bu, teraz stałaś się dobrem dzieckiem...
Dosyć. Przyszedłem po ciebie, bo tu za-
raz ludzie się zaczną schodzić... Powie-
dziano mi właśnie, że teraz mają usta-
wić nagrobek temu staremu... wiesz, co
to dawno byłoby w miasteczku kanonizo-
wany, gdyby żydzi znali instytucję świę-
tych, temu Jochaji. Chodźmy stąd. Spot-

kanie z jego zwolennikami nie zawsze jest przyjemne...

R ó z i a.

(zwraca się ku grobowi matki).

J ó z e f.

Chodźmy, powiadam! *(Oddalają się, przy bramie spotykają się z wchodzącym Manesem. Ten znacznie jest zmieniony. Posiwiał, chodzi zgarbiony, wzrok ma wbity w ziemię. Ubiór na nim zaniedbany, cała postać zdradza silny rozstrój).*

SCENA TRZECIA.

(Mendele, Różia, Józef, Manes).

J ó z e f.

Aa! i ojciec tutaj! Patrzaj, jak wygląda... Hm... hm... znać po nim, że ma sumienie tak samo czułe, jak ty... Może jeszcze czulsze. Z nas trojga on chyba pierwszy zwarjuje. *(Staje przed nim).* Co ty tu robisz? POCO przyszedłeś? Wiesz, że dzisiaj ustawiają Jochaji nagrobek?

Manes *(glucho).*

Wiem... Dlatego przyszedłem.

J ó z e f.

Warjactwo! Idź ojciec do domu. Jeszcze ci tutaj jakąś nieprzyjemność zrobią...

M a n e s.

Co oni mi mogą zrobić! Już mi wszystko zrobili, co mogli. Zrzućli mnie

z wszystkich honorów w kahale i w magistracie... Psują mi wszystkie interesa i niezadługo będę dziadem. Co mi mogą jeszcze zrobić? (*Tajemniczo, posepnie*). Ale ja tu przyjść musiałem. Rozumiesz? musiałem! (*Wzdryga się*). Tak się boję... tak się okropnie boję, jak aniola śmierci, ale coś mnie ciągnie tutaj, jak obcęgami... Musiałem!

J ó z e f.

Ależ to oczywiste warjactwo, powiadam! (*Łagodnie*). Chodź, ojcze, chodźmy ztąd... Wyglądasz mocno chory... Te oczy nie dobrego nie zdradzają...

M a n e s

(*nie zważa na ostatnie słowa, szeptem, z wzrokiem nawpół obłąkanym*).

Wiecie... on w nocy znowu był u mnie...

R ó z i a.

Kto?

M a n e s.

On... Jochaja... Taki straszny! Raz już przyszedł... w nocy po śmierci... Kiedy ja to zaraz zachorowałem... Dziś był znowu... całkiem biały... w śmiertelnej koszuli, jak go włożyli do grobu... I nakazał, abym tutaj przyszedł... Nakazał — rozumiesz? A jak nie przyjdę — powiedział — sam mnie zawlecze w nocy... przed sąd umarłych mnie zawlecze... (*Z rozpaczą*). Widzisz... Jakie to straszne!..

Józef (*potrzęsa nim*).

Ojcze, ojcze, opamiętaj się! Bądźże rozsądnym! Byłeś zawsze tak trzeźwym i energicznym człowiekiem... Jakże możesz wierzyć w takie rzeczy. Umarli z grobów nie wracają.

R ó z i a.

Oj, wracają... Ale trzeba się bronić... trzeba działać... Chodź pan z nami, panie Manes, chodź pan... Spoczniesz trochę, pomówimy spokojnie... Może przecie wyprowadzimy się z tego przekłętogo miasteczka! Tu spokoju nigdy nie znamy...

Manes (*otrzeźwiony*).

Nie chcę, nie pójdę!... Z wami? Czy to ja nie wiem, że wy mi chcecie ostatni grosz wydrzeć, ha?

J ó z e f.

Ależ...

M a n e s.

Oj, znam ja was dobrze... (*do Rózi*) Ty... ty zła kobieta jesteś... Ciebie ja się boję... Ty mi jeszcze co złego zrobisz... Nie pójdę z wami! (*znowu szeptem*): Ja przecie tutaj być muszę! Nakazał...

J ó z e f.

Ha, na upór niema lekarstwa... Chodźmy. Zobaczysz, Róziu... (*Puka w czoło i wyjaśniając coś żonie, opuszcza z nią cmentarz. Manes błąka się między grobami*).

SCENA CZWARTA.

(Manes, Mendele).

M e n d e l e.

Ny, co to jest takiego, ha? co to jest? Fe, fe... oni tak sobie wyglądają, jakby mieli poprostu kłótnię... Co to za interes? Czy cały świat teraz *meszyge*, tylko ja jeden nie? Jochaja był największy uczony w całym kraju, to wzięli i robili mu takie gryzienie w sercu, że wziął i umarł. Teraz reb Manes jest największy bogacz w całym kraju, a oni wzięli i znowu jemu robią takie gryzienie... I już nie jest kahalnik i nie jest starszy w bóżnicy i ja już nie chodzę do Małkeleben, oby żyła! Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy!.. I ładnie to—pytam się? Manes jest przecie człowiek miętki, jak wosk. Nie jest już nic a nic grubianin i rozmawia ze mną, jak dwom delikatnym ludziom przystoi... Pierwej, jak mnie się nie podobał, to się im podobał, teraz mnie się już podoba, to oni znowu kręcą nosami... Oj, ciężkie czasy, paskidne czasy!.. (*Rzeźbi dalej*).

M a n e s*(podchodzi doń posepnie).*

I co tu porabiasz, Mendel, ha? (*Siada na kamieniu*).

M e n d e l e.

Ny, co mam robić? Ja przecie jestem największy majster od takich nagrobków. Skończyłem już taki piękny kamień dla

reb Jochaji, teraz jeszcze szlifuję sobie trochę, coby był extra-fain...

M a n e s.

Powiedz-no, Mendel, jak ty myślisz. Co teraz porabia Jochaja?

M e n d e l e.

Reb Jochaja, błogosławiona jego pamięć? Ny, a coby miał porabiać taki koszer i sprawiedliwy człowiek? Pewnie sobie siedzi w raju, na pięknym tronie, niedaleko Abrama, Izaka, Jakóba i wszystkich sprawiedliwych. I je rybę z Lewiantana i pije sobie wino z czasów Adama i jest mu bardzo dobrze. Potem patrzy na Pana Boga i cieszy się w swoim sercu i jest mu jeszcze lepiej, niż bardzo dobrze... Ny, czy to mało?

Manes *(do siebie)*.

Tak... tak... Musi on bardzo mieć łaskę u Boga, kiedy mu daje taką siłę, że tu na ziemię schodzi. *(Jęczy przeciągle)*. Ooo!

M e n d e l e.

Co mówicie, reb Manes?

M a n e s.

Nic... nic... Ale powiedz mi, w grobie Jochaja miał spokój, prawda?

Mendele *(z przekonaniem)*.

Naturalnie miał spokój! Toż był człowiek sprawiedliwy i w dodatek zabrał z sobą tyle ziemi świętej...

M a n e s.

Tak... tak... wszystko zabrał. Ale powiedz mi... co się dzieje z takim... co nie jest... sprawiedliwy... i co nie ma pod głową... tej ziemi, ha?

M e n d e l e.

Co się z takim dzieje? Gwałt, aż nie-dobrze o tem gadać...

Manes (*do siebie*).

I poco ja jego pytam? Toż słyszałem już tysiąc razy... I serce mi zastyga, jak o tem pomyślę, a przecie nie mogę się od tych myśli odczepić... nie mogę!

M e n d e l e.

Co mówicie, reb Manes?

M a n e s.

Nic... nic... Więc co się dzieje?

M e n d e l e.

Bardzo paskudne rzeczy się dzieją... Bodaj to się działo wszystkim moim wrogom! Jak bezbożnik leży już w grobie, przychodzi do niego ten zły duch *malech-dojme*, chwyta go, rozpruwa brzuch, wrywa wnętrznościów i ciska mu je w oczy... Potem bierze go na koniec dzidy i rzuca od jednego końca świata na drugi. Tam wpada grzesznik do piekła i gotuje się w ogniu tak długo—dopóki nie oczyści się z wszystkich grzechów żywota... Nic więcej się nie dzieje...

Manes (*stuchając martwo*)

Nie więcej się nie dzieje... (*Zrywa się*).
Boże, broń mnie! Boże, broń mnie! bo
zwaruję...

M e n d e l e.

Gwałt, co mówicie, reb Manes?

M a n e s

(*nawpół nieprzytomny biega naokoło, ciągle
mrużąc i jęcząc*).

Zły duch... Małech dojme... przycho-
dzi do grobu... i tylko ziemia święta bro-
ni... tylko... Ooo! (*Znika w głębi. Z po-
śród grobów dochodzi jęk jego przeciągły*).
Wchodzi dajon i kilkunastu pobożnych, Ra-
chel, Ester i inne kobiety. Zebracy.

SCENA PIĄTA.

(**Mendele, Manes, Dajon, Rachel, Ester, tłum**).

D a j o n

(*powoli idąc ku grobowi Jochaji*).

Bądź pochwalon, Wiekuisty, który
wskrzesasz umarłych! (*Wszyscy odmawia-
ją tę modlitwę pocichu*).

R a c h e l.

Mój mężu drogi... moja korona złota...
moja duszo przeczysta... (*schyla się nad
grobem*).

D a j o n.

Mendel i wy inni... Ustawić nagrobek!
(*Dźwigają płyty*).

R a c h e l.

Jochajo, Jachajo, czemu mnie opuści-
łeś... (*Manes ukazuje się z boku, oparty na
grobowcu*).

Jeden z tłumu (*szeptem*).

Manes, co ty tu robisz?

Drugi z tłumu.

Idź, idź, stąd, powiadam ci. Jak ty śmiesz?

R a c h e l

(*Odcracca się, dostrzega Manesa*)

Ty tutaj? ty bezbożniku, ty krzywoprzysięzco, ty morderco! morderco! morderco!

M a n e s

(*walczy ciężko, chce coś mówić, myśli mu się płaczą, słów nie może znaleźć*).

R a c h e l

(*przypada doń z wniesionemi rękoma, krzyczy dziko*).

Ty jeszcze przyszedłeś patrzeć na swoje dzieło, nam urągać? Patrz... patrz... on leży głęboko w ziemi, ale ty będziesz jeszcze głębiej!.. Bodaj byś stamtąd drogi nawet do piekła nie znalazł! Bodajby zły duch ciągle cię szarpał w kawałki, a ty żebyś latał wiecznie światami i nigdzie wstępu i wytchnienia nie znalazł! Krzywoprzysięzco, morderco, morderco!

M a n e s

(*rzuca się naprzód, z nieprzytomnym krzykiem*). Dosyć! dosyć! (*Chwyta się za głowę, szarpie odzież*). Moja głowa pali się... pęka... Ludzie... Boże... miejcie litość!

G ł o s y.

Patrzcie... jak on okropnie wygląda... On włosy sobie wrywa... on opętany..

D a j o n.

Niech ktoś poskoczy po syna... (*Jeden z obecnych wybiega*). Manes! Manes!

M a n e s

(*coraz szybciej, z wzrastającym obłąkaniem*)
Róbcie ze mną, co chcecie... weźcie sobie majątek... wszystko weźcie... tylko uwolnijcie mnie od tych bólów! Te myśli straszliwe zabierzcie!

D a j o n.

(*próbuje go odwieźć na bok*).

Ależ Manes...

M a n e s

(*wyrywa się, przypada do grobu Jochaji*).

Nie... ja nie pójdę... ja do tego grobu chcę! Ja ziemię palestyńską muszę wy-dostać! Ja ją wyrwę... bodaj jemu z pod głowy... Ja muszę mieć obronę przeciw złym duchom!

D a j o n.

Człowieku grzeszny... Myśl ty o Bogu i o pokucie, nie o tych rzeczach...

M a n e s

Muszę ją mieć... muszę! (*Rzuca się na grób, zaczyna szarpać ziemię. Obecni patrzą z niemym przerażeniem. Nagle odskakuje ze zgrozą, zasłania sobie twarz. Nieludzkim głosem*). Idź duchu! Idź sobie! Wracajcie, Jochajo, w miejsce wiecznego spoczynku! Czemu patrzycie na mnie tak okropnie? Czemu wyciągacie do mnie rękę tak białą? Ja nie jestem tak grzeszny... nie jestem tyle winien... nie! nie!.. Idź

uchu! (*Józef wbiega, za nim Różia, bez kapelusza, z szalem zarzuconym na ramiona*).

SCENA SZÓSTA.

Józef (*w biegu*).

Co to jest? Boże... Ojczy, ojczy mój!
(*chwyci go za rękę*). Opamiętaj się!

M a n e s

(*odstępuje kilka kroków, wyczerpany*).

Odstąpiłeś?. Wierzysz mi?! jam zgrzeszył, alem nie taki zły... nie całkiem... pomogli... pomogli... (*Dostrzega Rózię. Z krzykiem*). To ta! Ta kobieta zła! Ta jaszczurka! Ona jemu rewers wyrwała, nie ja! Ona!

R ó z i a.

Boże!

J ó z e f.

Ależ on wpadł w obłąd! Nie wie, co mówi... Nie zważajcie na to ludzie... to w szaleństwie! (*Ujmuje ojca, potrąca nim: Przestań... przestań! (Walczy z nim). Przestań! (Zatyka mu usta dłonią)*). To nieprawda, ludzie.. Nieprawda!

M a n e s.

Ja nie winien, Jochajo! Ona!!

J ó z e f.

Nie! (*Zrywa z ramion żony szal i zarzuca ojcu na głowę. Krótkie szamotanie się, nareszcie gwałtownie knebluje mu usta*). On ma napad... panowie! to niebezpiecznie... dla otoczenia niebezpiecznie... Muszę go ubezwładnić... muszę się nim zająć... (*Wbiega Małka*).

SCENA SIÓDMA.

(Ci i Małka).

M a ł k a*(przybiega, zatrzymuje się w niemym bólu)*

Stało się... Wiedziałam, że tak będzie..
(Staje przed Józefem). Tylko wy się nim
nie zajmujcie... mnie to zostawcie! Cięż-
ko mnie Bóg skarał, ale... lepiej odpo-
kutować na tym świecie, niż na tamtym...
(Odwiją szal, uwalnia męża). Bądź spokoj-
ny, mężu mój... to ja jestem... ja...

M a n e s

*(wzrok jego staje się szklannym, postać kur-
czy się, ze sił opada, głos staje się jakby
dziecinym. Przytula się do żony z bojaźnią).*
To ty, Małka?..

M a ł k a.

Ja, Manes, żona twoja... Chodź ze mną

M a n e s.

Ty mnie będziesz bronić? Będziesz bro-
nić przed złym duchem?

M a ł k a.

Będę... Pokutą... modlitwą... dobrymi
uczynkami będę cię bronić...

M a n e s.

I będziesz mnie bronić przed złymi
ludźmi?

M a ł k a.

Będę... Całe życie tobie oddam. Nie
złego ci się nie stanie.

M a n e s

(dostrzega Rózię, wzdryga się).

I przed nią będziesz mnie bronić także?

R ó z i a

(rzuca się z krzykiem na nagrobek matki).

Mamo, mammo moja!

D a j o n.

Sądy boże są straszliwe! *(Zastona spada).*

K O N I E C.





F

21933